

Marcin z Frysztaka

i

Balijski

świt



Książkę tę dedykuję moim Rodzicom i Bratu. Dziękuję za wszystko.

04. #06 Słowo wstępne.

Podróż. Za podróżą. Wpajasz. Porcję dużą. I stwarzasz siebie na nowo. Oby dalej. Na gotowo. Oby zdać egzamin z życia. Natarczywie. Nie podliczam. Oby się okryć pierzyną wspomnień. Pogardliwie. Za dużo napomnień. I te dalsze, zaległości. I zabiegi. Z przyzwoitości. I się zdarza. I powtarza. Tylko nie wołaj mi tutaj lekarza. Być i chcieć. Się wciąż zmieniać. Chcieć i mieć. Osobny temat. I nadęte ptaki dwa. I przebiegłe, ile się da. Wiadomo sprawa. Podróżowa. I ta odprawa. Bagażowa. Lecisz, jedziesz, wszystko jedno. Koligacje, rzeczą wzajemną. Byle wchłonąć, trochę od życia. Byle nie zapomnieć, jaki powód duszy tycia. I próbować. I się starać. Podejmować. Nie mieszać w garach. Gdy w środku niczego nie ma. I zbawienie, to osobny temat. Skup się na tym co tu, teraz. Nie graj wiecznie zdziwionego frajera. Co nie rozumie zasad tej gry. Tą całą grą jesteś Ty. To o Ciebie chodzi w Twoim życiu. Podróżniczym. Tym przeżyciu. I otwarciu. Naznaczenie. I zgłębienie. Uwypuklenie. Masz nadzieję. I dwa grosze. To pradzieje, usiądź proszę. Masz te słowa, wszystkie na raz. I rozmowa, opowiem zaraz. To dogłębne, analizy. Tylko skąd te Twoje schizy. A no z życia. Rozbieganego. Za mało podróży. Za dużo niechcianego. I odkryte zaległości. Sprawy, przy których nie ma litości. Boczne nawy. Tu zroszone. To obawy. Odnalezione. I gruntowne przemeblowania. Masz melodię. Rozpoznania. I ochoty, na to, tamto. Przykrywasz się dominantą. Zdanie, słowo. Założone. Nigdy nie przestanie być tworzone. Nigdy nie przestanie grać. Nawet jeśli nie będziesz już chciał stać. To wiadomo. Tam jest stromo. I odchyły. Szyby myły. Kobiety, które też podróżują. Bo życie to podróż. Dla tych którzy czują. Dla tych, którzy zostawiają graty. I do Boga. A Ty. Straty. A Ty podliczasz zaległości. Ucząc się tabliczki mnożenia od gości. Co Cię odwiedzają. Co na chleb się nastawiają. I kolejne otworzenie. Z jednym dobrym się złączenie. I kolejne wielkie schody. Gracja, oraz jej dochody. Powiedz tu wprost. Powiedz szczerze. Gdzie sam jesteś. Przy którym sterze. Pokieruj sprawnie wypowiedzią. Niech dowiedzą się wszyscy, którzy siedzą. Niech zrozumieją, niech się pośmieją. I masz życie okraszone nadzieją. Niech nie zawracają, tylko klaskają. I na lepszy świat się ciągle zdają. A nie wyciąganie tego co złe. A nie duszenie się tu we mgle. I naciągane okoliczności. Zdrady, powody do złości. I przeczytane kartki papieru. Stworzenia. Zmuszenia. Trzymaj się steru. Trzymaj się siebie. I swoich wartości. Nie spraszaj ponad stan gości. Nie wariuj jak masz to w zwyczaju. Staraj się. By też samotnie nie spacerować po gaju. Balans jest niezbędny. Balans jest pomocny. Udogodnienia. I chętni do pomocy chłopcy. Takie znaczenia. Wyodrębnienia. Takie zwyczaje. Że przed torami się staje. I odnowa w duchu jedna. I maść na bóle. Ta chwalebna. Dozowanie, szyku, taktu. I sprawianie. Spięcia, taktu. To się zgrywa i porywa. To się stwarza, nie przysparza. Nobilitacje i koligacje. To podróże. Zawsze w trakcie. Zawsze tu gdzie zabawa gra. Zna i swoje da. Bo odbywa się do skutku. Nie przyprawi, gratis, smutku. Te melodie nieskończone. Te edycje, naznaczone. I historie, zawsze na dwa. Tylko kto w tym interes ma. Czy świat się ogląda. Czy na Ciebie z podnieceniem spogląda. Jak i komu. Ja nikomu. Jak i kiedy. Byle, żeby. Się zdarzyło. Uwypukliło. I naznaczyło. Tak doświadczyło. To znaczenie. Wiecznie żywe. To pochylenie, tak prawdziwe. I się zdarza. I powtarza. I odnawia. Człowiek z żelaza. Był i po mnie. Był przede mną. Z miną. Tak chwalebna. To oddanie. I przelanie. Naznaczanie. Dokonanie. Chwile piękne. I męczące. To podróże. Zawsze tlące. Komu racja i narracja. Przełącz, będzie następna stacja. W dobrobycie, w dobrym stanie. Będzie na zawsze, przekonanie. Się stawanie, doświadczenie. Komu ile. Wybieranie. Czy się zdarzy. Czy postarzy. Ale dlaczego to się tak jarzy. Świeci, płąsa,

podskakuje. Z nikim się nie liczy. Nie wtóruje. Słowa gładkie, oczyszczone. Racje proste. Naznaczone. Chwile, jak zwykle, tak skundlone. I motyle. Pokaż żonę. Odleciał. Pewnie w podróż wleciał. Tryb, i rozmawiać nie chciał. Tryb podróży, mnie nie nuży. I nie, Ciebie. Co drugi stchórzy. Oby nie Ty. Wgryź się w tą. Podróż, co zawładnie duszą Twą.

Marat S. Wilke

PRZEZ ŻYCIE

Podróż życia
Się odbywa

A w niej Ty
Ktoś się zgrywa

Wszystko jedno
Wszystko znane

Oby nie znudziło Cię
Podróżowanie

Balijski świt

Pojechałem na Bali. Odpocząć. Poczuć się w oddali. Poczuć że dom jest daleko. Poznać na nowo jak smakuje mleko. I to mnie zaskoczyło. Całkowicie mnie to zmieniło. Niby mogło. Ale naprawdę się wydarzyło. Myślałem, że Bali to plaże, wulkany. A na Bali dużo więcej do zobaczenia mamy. Kulturę. Która mnie zaraziła. Poraziła i na nowo stworzyła. Uśmiech skąpany w porannym słońcu. To, że będąc na początku, jesteś już na końcu. Patrzenie z dystansem na świat i na siebie. A nie dylizansem, przez życie, kto nie wie. Bali uczy zwykłości. Na nowo normalności. Bycia miłym nie dla pieniędzy. Ale dla swojej przyjemności. Bali uczy też bycia częścią społeczności. Nie ważne jakiej ilości, i posianych włości. Ile, co i za ile. Chwile. Barak, podpieram się kijem. Odkrywanie Bali zacząłem od świątyni. Goa Gajah. I na niej skończyłem. Chwile które tu poznałem. Znajome twarze, które w sercu zostawiłem. Wszystko bym dał, aby żyć tak na zawsze. W mądrości miejscowych. Oddychać, to nie straszne. To nie sprawia bólu, ani zawodu. Uczy czystości i mimochodu. Wszystko dzieje się powoli i spontanicznie. Ofiara. Miłość. Canang sari. Logicznie. Wszystko naraz tu kocha. Wszystko naraz się zbiega. Zaufanie. Poświęcenie. Każdy miejscowy to kolega. Każdy traktuje Cię z szacunkiem. Życie jest dla niego podarunkiem. Każdy woli ciszę od swawoli. Bo od ciszy nic człowieka nie boli. Jedno życie. Na dalekiej wysepce. Jedno tycie. Jak w ściągającej wzrok poszetce. I masz. Zadowolenie istnienia. I masz. Metody odnalezienia. Człowiek. Na nowo poznaje jak być człowiekiem. Świat, na palcach staje, aby podzielić się mlekiem. Wszystko dla Ciebie. Całe to stworzenie. Bali. Ludzie. I ich przewodzenie. Bo prowadzą Cię po kolei. Pokazując co z czym się klei. Po prowadzą Cię w spokoju. W miłości. W codziennym znoju. Na słońcu które parzy. Na deszczu, który nie daje spać. W tej wielkiej wilgotności, przy której wszystko może się stać. I sztuka. Taniec wspaniały. I gra. Gamelan. Rytm. Szybkość jak się da. I malarstwo. Kamasan i inne. Wszystko naraz. Tak wspaniałe. Niewinne. Tak oddane i żyje. Tak wspaniałe. Nie biję. To wszystko jest tu dla Ciebie. Na Bali. Zobaczysz nie na pogrzebie. Zobaczysz nie przed upadkiem. Ale przed wstanie na nogi. Bali. Uczy życia i życiowej swobody. Wspaniałości. Spokojności. Wyciszenia i radości. Ręcznego przygotowywania ofiar. Medytacji. Pełnych par. I atrakcji. Ciągłych wiar. Dla świtu. Przez świt. W rozkwitu. Nie znikł. Nikt. Po kolei. Każdy zostaje. Duch. Dusza. Człowiek całością się staje. Każdy to tu wie. Każdy to Ci powie. Ćwicz i budź swego ducha. On Ci jak żyć podpowie. On Ci jak tyć, nauczy. Nie ważne, co teraz masz w głowie. Nie ważne, jak zepsuty. I czy kupujesz tylko markowe buty. Nie ma to znaczenia ile chcesz wycisnąć ze swoje zmęczenia. Ważne, żebyś chciał chłonać. I wewnętrznie płonąć. Ogniem miłości. Ogniem poświęcenia. Dla ciszy. I spokojnego istnienia. W zgodzie z naturą. W zgodzie ze swoją strukturą. Poznając świat. Ten, który jest na tak. Poznając siebie. Bo to cała podróż jest. Jesteś czymś więcej, niż Twój przyjaciel pies. Jesteś czymś więcej niż Ci się wydaje. Tworzysz. Jak każdy Balijszyk. I w krwi Ci to zostaje. Zostaje Ci pasja do Boga. Bogów. Wszystko to jedna swoboda. Bo kolejna nazwa to tylko słowa. A Bóg to Bóg. Bez znaczenia jaka nasza mowa. Bez znaczenia jakie nasze przekonania. On czuwa. I ma z nami do pogadania. Czasami w obcym języku. Czasami na kultur styku. Daleko, blisko. Wszystko jedno Panisko. Dobre. Kochające. Żyjące. Tłące. Zapraszające. Pełnym sercem. A nie na dróg rozstaju. W pięknym balijskim gaju.

Biegając z dzikimi małpami. Kradnącymi. Atakującymi. Wszystko jedno. Zawsze na tak. Bóg. Jest nie tylko w świątyni. Ale w świątyni mówi jak. W świątyni pokazuje życie. I rozkazuje o świecie. W świątyni zapala ogarek. Kadzidelko. Nie tylko szare. I masz okazanie. Siebie z Bogiem przywitanie. I trzask zdradza zielarza. Leczy Cię. To się zdarza. I stukot rozpoznaje masażystę. Nastawia Ci kostkę. Znowu prysnę. I kolejne pokłony przed Bogiem. Może nazwiesz to nałogiem. Zaczęło się od jednej świątyni. A rozwinęło. Między świątyniami. Zaczęło się od jednego człowieka. A teraz każdy już na mnie czeka. Wszyscy widzą, że nie jestem jak inni. Turyści. Z pozoru niewinni. Byle by kupić koszulkę z napisem. I zrobić zdjęcie. Sto. I jednym irysem. Tu byłem. Każdy w internecie zobaczy. I zdjęcie całe nasze życie znaczy. Cały wyjazd. Dla zdjęć istnieje. Nic nie wiemy. Tylko że wieje. Nic nie rozumiemy, bo z nikim nie rozmawiamy. To nie ja. I posągi kulturze stawiamy. Nie znając tej kultury. Poświęcając jej piętnaście minut. Dla mnie to bzdury. Aż spada z nogi but. Kłapek. Bo niczego więcej nie potrzeba. No może trochę jedzenia. Choć nie mają tu chleba. Choć mają inaczej. Bardzo wszystko smakuje. Są warzywka. Ryż. Jajko. Wcale nie pudłuję. I te zdarzenia przypadkowe. I te historie nowe. Z dala od hipokryzji. I znowu jesteś na wizji. Z dala od obłudy. Nie czekasz na spalenie budy. Tu dzieci marzą o szkole. Bo płatna. I takiej nie wolę. Tu pracuje się ciężko. Na polu przy ryżu. Trudno jest być Balińczykiem. Choć nie mają tu niżu. Nie mają zasp śniegu. I niepotrzebnego biegu. Są za to skuterki. I dziwne, powtarzające się szmerki. Komu co potrzeba. Ten załatwi. Tamten nie da. Komu co za ile. Trudnić się trzeba. Chociaż na chwilę. Taxi albo i nie. Ktoś znowu zaczepia Cię. Ale to w miejscach dla turystów. A nie przy świątyni. W domu przysłów. To nie w domach miejscowych, co na obiad zapraszają. To nie w małych miejscowościach, gdzie turystów nie znają. Różnie. Zdarza się. Czego szukasz, znajdujesz. Potwarz, po twarzach. Spotykasz, nie pudłujesz. Świt spotyka Ciebie. Oby nie pijanego. Bali, zostaje w krwi. Odpoczynku całonocnego. Czasami na twardym betonie. Na liściach. Albo na słomie. A raczej trawie jakiejś dziwnej. Chwilo. Czasie. W ilości przedziwnej. Mnogości sprawnej. Czujesz, że nie zginiesz. W przestrzeni żadnej. Czujesz, że to Twoje miejsce na ziemi. Gdy zrozumiesz, że nic Cię już bardziej nie zmieni. Nie ma znaczenia. Prawo czy lewo. Z takiego czy innego strumienia. Nie ma różnicy, czy z dołu, czy z góry. Rodzina chrześnicy. Nie ma kontaktu i odosobnień strawionych. Masz jedno. Rachunek spraw, ciągle niedokończonych. Bali żyje. Bali tworzy. A Ty razem z nim. Jak Pan podkomorzy. Jak chwila na życie. I zatrzymanie. Masz nowe przeżycie. I liczące się zdanie. I rozwiązane równanie. Staruszką odkrywanie. Przez staruszkę świat. Nie rób ze mnie wariata. Nie udawaj kata. Wszystko masz tu tak. Zakłęte w stu znakach. Zaczynij, oto pierwszy znak. Zachęcenie. I ruszasz w piękną podróż. A nie znęcenie. Z powodu ilości róż. Róż na Bali nie ma. Ale są truskawki. Tutejsze, soczyste. I dalsze zagadki. Odkrywasz balijskie ciśnienie. I na duszę przeniesienia. Odkrywasz to co zakryte. I wiesz, że jest przeżyte. Bali w sercu zostaje. Niezależnie jakie zobaczysz jeszcze kraje. Bo Bali to mądrość duchowa. Która wnika i kształtuje od nowa. Bo Bali to cisza piękną. Która z byle powodu nie stęka. Bali to przytulenie. Świata, który nie jest życzeniem. To nie Ty stworzysz Bali. Tylko Bali Ciebie. Nie zepsujesz go. Nie zatańczysz na jego pogrzebie. To piękno słów co w miłość się układają. A nie tylko dla zachodnich turystów. Radę ciągle dają. Albo południowych. Też ich tutaj sporo. Spotkasz każdą porą. Czasem ubrani w moro. Czasem sami w siebie. Czyli na golasa. Myślą, że są w niebie. Szaleństwa, pląsy i dyskoteki. Szkoda słów. Gestów. Kartoteki. Policja ma tu co robić. Nazjeżdżali się. Niezależnie od pogody. Pić zawsze tu się chce. I tak słowa zamieniają się w przyjazdy. A przyjazdy w małomiasteczkowe jazdy. Byle z logiem na okładkę. Byle miała

ładną gadkę. To wszystko się spotyka. O ile człowiek dalej znika. O ile nie szuka oazy. Ciszy i odpowiedniej fazy. Fazy duszy nastawionej na słuchanie. A nie na ciągłe ujadanie. Fazy ciała, którego nie chciała. I odpowiedzialności bez ilości. Zdarzenia. A nie tonięcia w nicości. Przedłożenia a nie odpowiedzialności. Za siebie i rodzinę. Naszą kulturę, czytaj, naszą kpinę. Z kultury. Zachodniego zepsucia. Kulturalnie. Byle z butów wyzucia. Dla wyzucia. Dla zabawy. System psucia. Nie ma sprawy. Nie ma sensu tego powtarzać. Ważny jestem ja. Ty. Po co brednie powtarzać. My. Ludzie przez ciszę poznani. Chwała. Że jesteśmy tutaj sami. Sami z kulturą. A nie zachodnią bzdurą. Unifikacją. Co niektórzy nazywają ją racją. Amerykanizacją. Stop-klatka. Narracją. Stop-marzenia swobodne. Deszcze i chwile mozolne. Komu jak, to zostawione. I za ile. Może być zrobione. Czyje te kolejne życzenia. I czy powód to do Bali odwiedzenia. Każdy sam czuje i decyduje. Nie o powtórzenia mi chodzi. Lepiej tu zgaduje. Tylko o życie pełną pierśią nasiąkanie. Tylko jedno sensowne. Odpowiednie danie. I stwarzasz. Samego siebie. Każdy westchnieniem. W niebie. I oddajesz całego ducha. Ciesząc się od ucha do ucha. W posiadanie szczęścia. W uznanie miłości. Byle do zwycięstwa. A nie pogruchotanych kości. Byle na zawsze razem. I tak już zostanie. Byle nie jednym razem. I masz na to oczekiwanie. Bali wraca do człowieka. Nie ważne ile razy tam już byłeś. To ono nas odwiedza. O ile dobrze robiłeś. O ile czułeś a nie tylko oglądałeś. O ile oddychałeś a nie tylko zdjęcia pstrykałeś. Chwila, za chwilą. Możliwość za możliwością. Podziel się bilą. Sam jesteś szczęścia ilością. Sam jesteś tą przejrzyistością. A nie obowiązkowością. I nadajesz na falach istnienia. Masz radość tą z przyłożenia. I nadajesz elegię sławy. Ciszy. Tej do zabawy. Bo bawić się trzeba swoim istnieniem. W lekkości. Dotknięciem i zostawieniem. A nie śmiertelnie poważny mąż. Bez wiary. Wierzący w rozum wciąż. Więźniowie rozumu. Zachodnia choroba. Niewyróżniający się z tłumu. Taka zespolenia doba. Ale na Bali tłum to zrozumienie. Środek wyspy. Całe pokolenie. Jedno, drugie i kolejne. Tradycją skąpani. Czy promienie są długie. Na noc zostawiani. Aby ich przewiało. Aby się udało. Było. Żyło. Byle dobrze się stało. Zapraszam na wspólną podróż. Przez Balijskie życie. Wakacje. Które przemieniły się w moje prawdziwe odżycie. Odżyjesz i Ty. Od tych balijskich słów. Mądrości. I zadowolonych krów. Nie do jedzenia. A do słuchania. Nie do zdarzenia. Ale do poznawania. Masz historię na nowo opowiedzianą. Masz teorię. Na zawsze wiedzianą. Natarczywość. Odgoniona. Słowo daję. Że spełniona. Opozycja prawy tutaj. Koalicja, to postukaj. Sam musisz chcieć i odpowiedzieć. Być czy mieć. Nie musisz długo siedzieć. Popłyń ze mną. Na tę eskapadę. Zanurz się w spokój a nie zwadę. Wszystko tu jest na Ciebie przygotowane. Sens i życie będzie Ci znane. O ile się otworzysz. Ducha i serce. O ile się rozmnożyć. Będziesz chciał więcej. Koniec tej książki swym życiem napiszesz. Ale zanim koniec. Zarejestruj wszystko, na duchową kliszę.

GOA GAJAH (1)

Pierwszy dzień ba Bali. Wspaniałe chwile. To się chwali. Świeże owoce na śniadanie. Naleśnik bananowy. Miód. Tego nie było w planie. Plany pisze samo życie. I tak już zostaje znakomicie. Plany tworzą odporną duszę, albo rany. I to samo życie. Znajomy mówi, że wrócił ze świątyni. Nie daleko. Fajnie było. Świątynia szczęście uczyni. Tak twierdził i mnie przekonał. Podjechałem. Do Goa Gajah. Jakbym wcześniej skonał. Nie zobaczyłbym tego pięknego budownictwa. Wspaniałe rzeźbionej skały. Nie spotkałbym opiekuna świątyni, pemangku, który jest tak naprawdę mały. Z niskiej kasty. Zwyczajny prosty człowieczek. Ale wielki duchem. Temu nie zaprzeczę. I pemangku powiedział mi coś czego nie zapomnę. Że nie zawsze to co jest piękne, tak naprawdę jest strojne. Nie ma tak, że piękno rzuca się w oczy. Zazwyczaj zostaje w cieniu. Nie narzuca się. Nie rozkazuje prawdziwemu istnieniu. Nie stara się przekonywać wciąż do swoich racji. Nie ma też od prawdy nigdy wakacji. Piękno buduje człowieka. A nie sprawia, że czeka. Piękno wskazuje na rację. Delikatności atrakcję. I z pięknem człowiek łączy się na stałe, nie na chwile. Z pięknem zwykłe chwile, zawsze są miłe. Gdy je rozpoznajemy. Gdy obchodzić się z nim umiemy. Z pięknem. A nie, że na siłę chcemy. Zmienić wszystko w piękne. Wymusić. Wtedy staje się pokrętne. Nieprawdziwe. Nieszczęśliwe. Piękno jest wolne. I w wolności swej cliwie. Piękno jest spokojne i nigdzie nie pędzi. Z pięknem dobrze, odpowiednio. Trafisz zawsze i wszędzie. Gdzie Cię prowadzi. Gdzie Cię zaprowadzi. Piękno, człowiekowi nie wadzi. Odnajdziesz w nim siebie. Odnajdziesz nadzieję. Że cokolwiek się dzieje. Piękno zawsze się śmieje. Opiekun świątyni, mądrze pięknie mówił. I żegnając się polubił. Oczami. Bo mu się śmiały. Ale odchodząc jeszcze powiedziały. W świątyni zawsze bądź w sarongu. Chuście zakrywającej nogi. Jest on bowiem podobny do prądu, który doprowadza do z Bogami zgody. I druga sprawa, zawsze przynosi podarunek. Prezent dla Bogów. Poczęstunek. Canang sari. Z tym co jadłeś. Z monetą. Albo tym co ukradłeś. To był rzecz jasna żart. Nikt tu nie kradnie. Ale jak to żart. Ułożyło się składnie. Trzecia rzecz to kadzidełko. Aby odstraszyć to co złe. Zostajesz oczyszczony. Tak jak intencje twe. Oczy pemangku nie miały więcej do powiedzenia. Sporo mnie nauczyły. Takiego starego lenia. Krótka rozmowa. Mądrość przekazana. Udana historia. Z czasem. Nie zabrana. Darowana. Ten czas otrzymałem. Historia na nowo poznana. I przez Bali na mnie zapisywana. Zrozumiałem. Więcej chciałem. Zwiedzić świątynie. Zaznać mądrości, która we mnie nie zginie. Ciepło. Cisza. Chwila. Miłość. Co się nie odchyła. Co nie ucieka. Tylko z radością się styka. Ja i ona. Nic nam nie umyka. Bali. Powitało mnie i zaskoczyło. W prostocie mądrością ukoilo. W prostocie trwało i znaczyło. W ochocie mnie sobą naznaczyło. Piękno. Ile to dla mnie znaczy. Znaczyło niewiele. Ale się zmieniło. Mnie zmieniło. Ducha mego ruszyło. Głęboko poruszyło. I zostało. Tak że ciągle mało. I zechciało. I ze mną już było. Nie wiem, czy pemangku zdawał sobie sprawę. Jaki wpływ na mnie wywarł. A nie tylko zabawę. Choć na Bali bawić się przecież miałem. A coś zupełnie innego, od Bali dostałem.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Piękno na Bali

Odmienia się przez przypadki

Chodzi wskazuje
Zadaje kolejne zagadki

Było i się zdarzyło
Było i będzie nadal

Piękno się rozgościło
I łapie tego, który spada

PURA TAMAN SARASWATI (2)

Drugi dzień rozpocząłem od wizyty na targu. Nie targowałem się. Było bardziej jak w parku. Kolory i szum. To tylko widziałem. Sarong. Mój własny. Już go miałem. Kupiłem też Canang sari. Do świątyni. Dołożyłem też od siebie dary. Jakieś ciasteczka i pieniążek. W uroku pięknego miasteczka, przestaje. Nie ciężę. Przyciąganie jest jakieś mniejsze. Nieokazane. Bez dowodu, oby zgodne z planem. Bez przychodu, oby na zawsze pokazane. Potrzeba mi więcej miodu. Historie Bali są mi znane. Z uczucia. I doświadczenia. Z poczucia. I przerobienia. Stania się czującą istotą. Może wcześniej, czy później. Myśli mnie nie kłopotczą. Idę do świątyni. Kadzidełka są. Wszystko jak ma być, synapsy aż rwą. I pytam o pemangku. Wskazują mi człowieka. Dowiaduje się jak się modlić. I kto na mnie czeka. Jak klęczeć i składać ręce. Wszystko złączone w jednej podzięce. W jednej prośbie. Chwała najwyższemu. Nie ważne jak Go nazywasz. Przypatrz się Jemu. Pemangku po modlitwach podszedł z uśmiechniętą miną. I powiedział, nie zastaniając się nagrodą, ani winą. Tak po prostu. Żeby słowa nie trafiły do kosza. Ten garbaty. A tego zjadła kokosza. Rangda. Zapamiętaj to imię. To królowa demonów. Przy niej każdy zginie. Co dobrem się nie zastania. Co z Bogiem nie przegania. Zło. Demony. To prawda. Te stwory. Istnieją i chcą Twojej zguby. Nie ważne, jak nazywane. Nie ważne, czy przywoływane. Czasami bowiem sami ich pragniemy. Kontakt z złem. Tego chcemy. A czasami kuszą nas do złego. Te pomniejsze. Albo dość już masz tego. Albo chcesz spróbować, czegoś dobrego. A demon ciągnie na dno. To coś przebiegłego. To coś nieopisanego. Jak kluczy. I stara się. Na błędach się uczy. Za wszelką cenę chce Twojej zguby. A nie byle czego. Zwyczajnej obłudy. Ciągłe mu mało. Stara się. Oby tylko się udało. Zniszczyć Twojego ducha. Prawdę, która nim porusza. Boski wiatr ciepła. Delikatności i wspianiałości. To co stworzone z miłości. Dla Rangdy to tylko kości. Dowodzi i rozkazuje. Zepsuć Ciebie próbuje. Zawodzi i rozwodzi. Sama się nie wyswobodzi. Z uścisku, który zrobiła. Z dokonania, które uskuteczniła. Rangda. Nie jest i nie będzie miła. Rangda. Bicie Twojego serca spowolniła. A później na odwrót. Ze skrajności w skrajność. Z nie jednym już tak robiła. I nie ma tego dość. Rangda. Największa z upadłych. Każdy. A w szczególności Ty. Znikaj. Nie przechodź z nią na Ty. Nie spoufalaj się i nie odpowiadaj na pytania. Nie wdawaj się w dyskusję. Przebiegły to kawał drania. Czy draniczy. Co oczy zastania. Jak topielicy. I takiego końca Ci życzy. Rangda. Kwintesencja dziczy. Na tym pemangku skończył swoją mowę. Krótką. Ale pouczającą. Nie jej tylko połowę. Piękną. W serce wchodzącą. I już mam pełną myśli głowę. Jak. Ja. Ona. Mnie.

Demony. Czy one naprawdę chwytają się mnie. Demony. Czy który z nich mnie zje. Moją duszę. Czy zniszcz i zostawi pobojowisko zgliszczy. Jak się wystrzeżać. Za Bogiem się chronić. Jak być w rozbiegach. Nie tylko się bronić. Ale odwracać się. Nie dać się sprowokować. Dobre życie, zaczynać codziennie od nowa. Dobre mycie. Oczyszcza i duszę. Żyj należycie. W serii poruszeń. Pięknie było. Pięknie się złożyło. Drugi dzień. Druga świątynia. Ubud co tętnić Bogiem zaczyna. I nie kończy. Zaczynania mnie wciąż uczy. Ubud. List gończy. I zapach rozpościera suczy. Różnie widziany. Różnie odczytywany. Rangda. Przejrzy Twoje wszystkie plany. Wiem to. Pemangku mnie przekonał. Nie chce mieć z nią nic wspólnego. Obym bez niej skołał. Aby jej zrobić na złość. Pokazać, że do niej nie należę. Wystarczy nie brać udziału. W jej tańcu. Jak zwierze.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Rangda sama przed sobą
Się nie obroni

Potrzebny jest Bóg
Który chroni

Potrzebna jest bliskość
Z wszelkim stworzeniem

Miłość
Która nie nazwie Cię leniem

GUNUNG KAWI (3)

Trzeci dzień. Postanowiłem. Kolego, coś zmień. I pojechałem do góry Kawi. Która rzeźbieniami Boga słaui. Która pokazuje że Baliyczycy są zdolni. Tworzą. I nie są w tym powolni. Tradycyjnie z Canang sari. Złożyć ofiarę, tak jak przede mną tysiące składali. Ofiar. Modlitw. Westchnień. Bóg wie, że nie jest tylko podestem. Choć podest się przydaje. Religia. Dalekie kraje. Aby zbliżyć się do Niego. Aby uwierzyć na całego. Aby doświadczyć tylko Jego. Historia. Modlitwa. Praktyka. To wszystko się tu, na końcu świata styka. Zapomniane przez nas przekonanie. Że nie ma innego sensu, niż boskie wezwanie. Nie ma ważniejszego zajęcia. Nie ma odważniejszego wzięcia. Jak życie. I schowanie. Jak z Bogiem wspólne mieszkanie. Tego mnie nauczyli tutaj. Na Bali, ludzie w kiepskich butach. Wcale nie bogato ubrani. Wcale nie modnie i znani. W Kawi nie spotkałem pemangku. Ale jakiegoś dziwnego staruszka. Mówił. Opowiadał. Oko do mnie puszczał. Nie wiem czy świadomie. Nie wiem, czy wiedział co to znaczy. Ale cieszył się. I powtarzał znaczenie raczej. Radości. Że jest najważniejsza. Jak Bóg. Na trud życia najskuteczniejsza. Mówił, że radość leczy choroby. A zamartwianie się, prowadzi do niezgody. Z samym sobą. Ze światem. Nie ma co się martwić. Nie bądź wariatem. Zawsze jakoś to będzie. Jakoś się ułoży. Lepiej, gorzej, ważne, że uśmiechów przysporzy. Ważne że serce się na życie otworzy. Twoje. Moje. Każde. Mnoży. I zastanowienie. I lepsze, doskonalenie. Ducha. Tylko tutaj. Na tutejszej antenie. Wszyscy patrzą. Wszyscy naśladowają. Tu na Bali. Radość odnajdują.

W zwykłych rzeczach. W bliskości Boga. Przez to że jest, nie przeszkodzi Ci twoga. Przez to że żyjesz. I w radości tyjesz. Słowa. Zdania. Radości nie zabijesz. Ona jest w Tobie. Choć możesz się od niej odwrócić. Marzenia mnogie mogą ze sobą się kłócić. Ale radość zostaje. I niczego nie udaje. Ale radość się sprawdza. I wszystko co dobre utwardza. Spaja. Złącza. Poprzez radość. Sam Bóg do nas dołącza. W nas żyje. Kocha. Nie przestaje. Wiara, w radość. Samym nie zostaje. Wiara w kochające wciąż oczy. Przez radość. Każdą przeszkodę przeskoczy. Na całość. Na życie. Odpowiedź. Przeżycie. Takie były to słowa starego Balińczyka. W Kawi. Gdzie nic co dobre nie znika. Zostaje. Wspaniałą energię. Ma to miejsce. Na stałe. Od zawsze. Na zawsze. Dlatego tu powstało. Dlatego od lat tu pokłony się oddawało. Kawi. Zapamiętam tego starca. Te monumentalne rzeźby. W skale. Nie dla malca. Nie dla byle kogo. Ale dla Boga samego. Aby czcić radość. Miłość. I tyle tego dobrego. Całego. I miłości zamkniętego. Radośnie. Ukośnie. Dla mnie samego. Pokłon. Dla mnie i ode mnie. Szacunek. Starzec. A wie, czym jest człowieka poczęstunek. Wie i się stara. Nie udaje lepszego. Mówi. Nie ważne co wyjdzie z tego. Mówi, bo ma coś do powiedzenia. Mądrość. Która nie ocenia. Ale człowieka zmienia. Mądrość która zostaje. Piękno. I Boga chwale. Zrozumiałem. Poczuję to. Że się na lepsze zmieniałem. Zmieniam. To trwa nadal. Zaczęło się tam. Na Bali. Nie, że spadam. Odwrotnie. Lecę coraz wyżej. Wzbijam się. Nie ważne. Półksiężycy, czy krzyże. Nie ma znaczenia jaką religię wyznajesz. Ważne, czy duszę ćwiczysz. Czy lepszym się stajesz. Nie ważne, czy zmuszasz się do wysiłku. Ważne, czy nie zapominasz o duchowym posiłku. Wszystko jest tutaj. Pomiędzy palmami. Ale też na Grenlandii. Między pingwinami. Których tam nie ma. Ale może kiedyś przylecą. Zanim do zimnych krajów, na lato odlecą.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Radość

Cieszy się razem z Tobą

Podmucha wiatru

Czystą swobodą

Bo może pokazać siebie

Bo może zobaczyć świat

I oddychać

I dla tego oddechu się śmiać

PURA TIRTA EMPUL (4)

Czwarty dzień. Postanowiłem spędzić w świątyni Tirta Empul. Na oczyszczeniu. Wychodząc na największą z gór. Pokonując samego siebie. Pomaga w tym woda. O obmycie. Dla Ciebie. Raz po razie. Oczyszczająca w zakazie. Raz po razie dziękująca na razie. Chwila. Oczyszczenie mija. Czy zostaje. Pytanie czy sprawę sobie zdaję. Z mocy tego rytuału. Pytanie, czy robię to dla zdjęcia, czy jak serce dla zawału. Przez szok. Odnowienie ducha. Zatrzymanie. Zawał.

Człowiekiem porusza. Po to jest Tirta Empul. Dla zawału ducha. Aby odżył. I wiedział ile przejść musiał. By zrozumieć i stać się częścią życia. By przekonać. I być powodem siebie samej odkrycia. Znitrzeźwienie, poprzez zanurzenie. Jest także w zachodnich religiach. Tylko zapomniane. Niby powtarzane, ale czy rozumiane. Przez większość nie. Dlatego nie powtarzane. A chrzest duchowy trzeba odnawiać. Radość sobie kolejną sprawiać. O bliskości Boga trzeba pamiętać. A nie przypominać sobie, gdy pomocy trzeba. Stękać i jękać. Zauważyłem pemangku, więc zaczęłem na kilka zdań. Nie był to żaden drań. Człowiek uczciwy i pobożny bardzo. I o pobożności mówił twardo. Że ludzie się wstydzą Boga. Na zachodzie. I straszna to szkoda. Że słyszał i widział nie jedno. A nie jest mu wszystko jedno. Albo religia jako moda. Aby mieć zdjęcie do internetu. Że się wierzy. Nie trzeba do tego biletu. Życie na pokaz. Oddychanie również. A pobożność jest ciszą. A nie, gdzie groźniejszy zwierz. O pobożności wciąż piszą. Ale czy wiesz gdzie jest. Gdzie się ją szuka. Gdzie się ją powtarza. Czy ktoś Ciebie oszukał. Czasem tak się zdarza. Nie powiedzieli Ci a Ty się nie domyśliłeś. Tak naprawdę rachunku sumienia nie zrobiłeś. Po to jest oczyszczenie. Spowiedź. I życzenie. Po to jest oddychanie, kolejne zaczynanie. Możesz to zrobić. Nie ma w tym nic trudnego. Możesz się zgodzić. Nie ważne jak daleko odszedłeś od tego. Jak zbłądziłeś. Bóg Ci wybaczy. Co zrobiłeś, i czy dużo masz jeszcze pracy. Wszystko wokół. Tak mocno zakręcone. To protokół, że nie wszystko jest jeszcze zrobione. I odnowione. I odstawione. Nowy ja. Chodźmy na stronę. Nowy żar. A nie że wielbisz mamonę. To jest dar. Poczuj jak w miłości płonę. Serce człowieka. Do tego powstało i na to czeka. Aby wielbić. I przepraszać za błędy. Zaczynać na nowo. I wiedzieć którądy. Poznawać. Lepsze ścieżki. I właściwe kierunki. Nie odstawiać. Nie traktować świata jak opatrunki. Wszystko jest tutaj. W każdym uświęconym miejscu. Na ziemi. Tu, wszędzie. Poznaj kolor zieleni. Niby oczywistość. Ale czy dla każdego. Tak samo jest z duchem. Czy dbasz o niego. Tak samo jest z powtarzaniem kolejnego oczyszczenia. Z wiarą, pobożnością i powodem istnienia. Chwila trwa. I się powtarza. Mądrość ma. Się na nowo w sercu stwarza. Słowa pemangku przeniknęły mnie na wskroś. Potrzebowałem znaku. A może miałem dość. W każdym razie mnie otworzył. Po raz kolejny ktoś. W każdym razie mnie odnowił. To wspaniały gość. Wpuszczaj ludzi do swego serca. A zyskasz tak wiele. A nie tylko kac morderca. I szydzący przyjaciele. Którzy sprzedaliby Cię za srebrniki. Nie ważne. Kolejny atak paniki. Nie masz życia. Nie masz psa. Nikt nie pilnuje. Chata Twa. Okradana w każdą noc. I niechciana. Przynieś koc. Tak oddana. Już jest noc. I sprawiana. Poczuj moc. Noc na Bali szybko spada. Uderza i nie zakłada. Przymierza i tak już zostaje. Ciemność światłem się staje. Byłe odpocząć. Byłe nie walczyć. Dobrze wypocząć a nie teoretyk starczy. Masz co też miałeś. Niczego się nie bałeś. Więc okazałeś. I z dobrym zostałeś. Tu Ci będzie dobrze. Tu wypoczniesz. A nie pogrzeb. I tak też trzeba. Zaczynać. Ważne jaka mina. Ważne czy rozumiesz. Ile pobożność daje. Dzień czy noc. Ona z człowiekiem zostaje. Problem czy koc. Była tu i będzie. Poczuj moc. Będąc na boskim urzędzie.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Pobożny
Modli się dwa razy

Dla pewności

Nie dla obrazu

Pobożny

Wie ile ma radości

Bo pamięta

O pobożności

PURA GOA LAWAH (5)

Piąty dzień. Ale dziedziczenie. Tłok i na nogi się postawienie. Zwłok już nie odnoszę. Na niechcenie. Ja tylko proszę. Takie potwierdzenie. Zdecydowałem się na kolejną świątynie. Tak to już jest, wystąpić w kinie. Klinie. Znaczący. Znaczenie. Historii dalszej. To pocieszenie. Wybrałem Goa Lawah. Albo Goa Lawah wybrało mnie. Zdecydowanie. Muszę uśmiechnąć się. Byłem i ofiarę złożyłem. Chciałem i po swojemu robiłem. Cieszyłem się. Chwilą i możliwością. Czekałem. Nie chciałem zasłaniać się złością. Wszyscy w świątyni są tacy spokojni. To się udziela. Wszyscy są strojni. I nietoperze. Tutaj to obiekt kultu. A może szacunku. Nie rezygnuj ze swojego wizerunku. Nie oddawaj siebie do kasacji. Zostań z nami. Nie tylko z powodu wakacji. Się nabierało. Oby się udało. Chwile. Zawziętości. Znany ze swej litości. Rzecz jasna spotkałem pemangku. I rozmawiać z nim chciałem. Coś o sobie opowiadałem. A on o sobie nic. Tylko mądrość. Taki pic. Ale czy na pewno. Ale czy na stałe. Być sobą. Rzeczą chwalebna. O tym mówił. Tak do mnie przemówił. Bym nie udawał. Pozy nie przyjmował. Sobą się stawał. I tego nie żałował. By być naturalnym. Kochanym miłością. To Ty masz kochać, a nie zasłaniać się złością. I tak właśnie było. Radość to mi sprawiło. Słuchanie. Rad od pemangku odbieranie. By być naturalnie, oswojony z życiem. By mieć chęć i ochotę na bycie. A nie uciekanie. A nie szans odbieranie. Życie życiem a co jest na pierwszym planie. Zastanów się. Przemysł. Tak jak ja przemyślałem. I swoje życie. Do życia. Dostosowałem. Pokrywają się. Teraz to widzę. Ta sama wibracja. Z siebie nie sztywnię. Ta sama atrakcja. Siebie nie oddaje. Taka dedykacja. Kto kim się staje. Pięknie. Jest chodzić i brodzić. Jeszcze lepiej w cieniu się chłodzić. Ale nie w swoim cieniu. Tylko palmy wielkiej. Domku. Werandy. Na płytkach nie przekłute. Zdania i wyrazy. Poznają się bez skazy. I naturalne. Wizerunki i obrazy. I oczywiste, nakazy i zakazy. Tak wiele ludzi mówi, że jest sobą. Ale czy to prawda. Czy nie oszukują nikogo. Jak wiele musi się zmienić. Jak wiele dopasować. Jedna chwala nad życie. Trzeba je stosować. Trzeba wiecznie powtarzać. I żyć. A nie próbować. Trzeba siebie stwarzać. A nie innych obrażać. Siebie namnażać. W wypaczonej głodnej posturze. Że chcemy. Musimy. I nie poddamy się chmurze. Że swoją stworzymy, nie wiesz po co się burzę. Dlaczego to kpiny. Dowiesz się tego na górze. Było wiele chwil. I wątpliwości. Było wiele stresów, naleciałości. A po środku ja. I swoboda ma. A po środku wąż. Ty wspominasz to wciąż. Gdzieniedzie. Otwieranie szalupy. Gdzieniedzie. Odgłos jakiś, jak z huty. Ale nie tu. Nie na Bali. Tu gdzie zło tak pokąsali. Teraz się mści. I stara się psuć. Teraz historie. Trzeba tu snuć. O zepsutym świecie, co z dobrym się styka. Jeśli tego nie wiecie. Ktoś się pojawia, a ktoś znika. Skąd taka panika. Skąd słów tych wtrącanie. Mam głowę. Mam bzika. I to opowiadanie. Komu za co. Po co od początku. A czy Ci płacą. Użyj trochę rozsądku. Rozmawiam z nietoperzami. Było. Z tego znani. Rozmawiałem, pomawiałem. Na

moje dostrzegani. Na moje odpowiadani. I do dobrego przekonani. Chwilę. Zostali. Nie zawsze byli mali. Chwilę. Odgadli. I z tego są już znani. Wielcy, czy mali. Ważne, czy w dobro ubrani. Czy dobrem doświadczani. Ono się rozprzestrzenia. Nie będziecie wyprani. Kolorów pozbawieni. Gdy w nie się ubierzecie. Nie będziecie samotni, chyba, że tacy być chcecie.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Jestem sobą
A nie czyjąś niezgodą

Jestem zdrowo
Oby zawsze kolorowo

Nowe stworzenie
Nowe istnienie

Zrozumiało świat
I spełniło marzenie

PURA KEHEN (6)

Szósty dzień. Modłę się w Pura Kehen. Doszedłem do wprawy. Swoje wiem. Już nie trzeba mi pokazywać. Jak składać ofiary. I jak się nazywać. Poznałem swoje imię. Poznałem, że nigdy nie zginę. Wszystko jest. Tu sens. A nie tylko gatunki mięs. A nie tylko gatunki przegranych. Oby zawsze. Z tych danych. Oby zawsze uśmiechnięte. Marzenie z góry nie tknięte. Jednym wejściem się wchodzi. Drugim, wyjściem się wychodzi. Nie pomył drogi. Bo nikt Cię nie wyswobodzi. Nie pomył chwały. Bo będą o Tobie mówić, mały. I święte drzewo. Nie jedno. Jedno w lewo. Kogoś nauczasz. Kogoś pouczasz. Mówili o mnie miło. Dawno podkreślałam to było. A teraz jestem tutaj. W Pura Kehen. Wróciłem wspomnieniami. Duchem. A nie życzeniami. Z niesprawnym słuchem. I starszy pemangku. Taki wspaniały. Mówił. Przemówił. Ciągłe jesteś mały. Ciągłe wiele Ci brakuje. Musisz szlifować. Nie żartuje. Szlifuj ducha jak kamień szlachetny. Staraj się. A nie będziesz szpetny. Próbuje i stawaj się każdego dnia. Możesz. To jest pora twa. To jest Twoje zaczynanie i Twoje życia poznawanie. Historia żyje. Historia nie kłamie. Życie jest po to, aby częścią być. Miłość. Tylko w niej szczęśliwie można żyć. Ale trzeba szlifować. Siebie z całych sił. Poprzez modlitwę. Uśmiech. I żebyś w końcu był. Dla drugiego człowieka. Ktoś zawsze na Ciebie czeka. Dla drugiego lepiej. A nie kupujesz atrakcje w sklepie. Wszystko byle mocniej. Wszystko byle szybciej. Życie na chybicka. Występuje coraz liczniej. Ludzie nie wiedzą gdzie pędzą. Ale biegną dalej. Ciągłe nogi ich swędzą. I po co te wszystkie żale. Po co to udawanie. Samego siebie przekonywanie. Po co odkorkowywanie. I kolejne, udawanie. Szlifuj. Siebie. Ducha w potrzebie. Niech lśni. Niech się spełni. Odpowiadam Ci. Tak mówił pemangku. Wspaniale. Dla znaku. Wszystko tutaj stworzone. Naturalnie. Niedokończone. Wszystko jest tu dla ludzi. Bali ducha człowieka budzi. I muzyka w świątyni.

Piękna. Nie jesteśmy jedyni. Jakieś święto dzisiaj jest. Kolejne i następne. Być człowiekiem to jest test a nie gadanie pokrętne. Wiele wspomnień i odroczeń. Zostajesz tu zlany potem. Te przyczyny i przewiny. Nie umrzesz pod płótem. Chwile dla Ciebie. Chwile od Ciebie. Które wybierasz. Ja chyba nie wiem. Które otwierasz. I z której wciąż strony. Do biegu się zbierasz. Chyba nie jesteś spełniony. Ale czy będziesz. I kiedy to się okaże. Czym się zajmiesz. I dlaczego uśmiechnięte twarze. Tak dobrze. Tak lepiej. Ale jak się nazywam. Byłem już w tym sklepie. Przed sobą się chyba skrywam. Może tak, a może każdy to mój brat. Może siak, odpowiedź woła o tak. Odpowiedź woła o prędeży. Do szlifowania. Weź przędzę. I twórz. W urzędzie. Siebie mnóż. Natchnienie. Jest lub nie. Siebie nie zmienię. Odpoczywanie. Przyda się, gdy będzie. Odkorkowywanie. I mnóstwo skojarzeń. I mnóstwo zestrojeń. Zastanów się może, czego ja się boję. Trzeba zmierzyć się z własnymi strachami. Trzeba wierzyć, a nie być obcym pomiędzy atrakcjami. I tworzenie. Odpływanie. Odroczenie, lepszym się stawanie. Kombinowanie. Na nie. Ochłodzenie. Się wie. I twierdzenie. W jakim stanie. Byłem w różnym. Takie me zadanie. Upadać i wstawać. Szlifować. To nie zaraza. Upadać i liczyć. Gatunek i ilość zniczy. I to wieczne zaczynanie. Masz otwarcie. Masz zadanie. I to twórcze nakręcanie. Odbicie od ziemi. A nie siebie sprzedanie. Ktoś mnie poznał. Ktoś zapomniał. Było Bali. Jest fotograf. Równo stali. Malowali. Trzymasz życie swe na szli. Dobro – zło. Uwierz w to. Ty kreujesz. Siebie bo. Ty zwiastujesz. W niebie tło. Odgadujesz. Jesteś, to. To urzeczywistnienie. Wypadkowa. Nakręcenie. Jesteś to wieczne odnowienie. Świeżość. Która zawsze jest w cenie.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Szlifuj ducha
Miłością tylko

On posłucha
Zanim znikną

Te powody
Te przeszkody

Wszystko
To jest skok do wody

PURA DALEM SILADRI MAHA GOTRA TIRTA HARUM (7)

Do twarzy mi w sarongu. Tak dziś pomyślałem. Ciekawe co na myśli miałem. Bo to nigdy nie wiadomo. Z własnymi myślami. Nie raz udowodniono. Że się gonią z marzeniami. Ganiają i w berka grają. Nie udają. Podpowiadają. Wiele słów jest. I przyciągnięć. Drak i niekoniecznych niedociągnięć. Spraw i chwytania za pośladki. Braw i trafiasz za kratki. Melodie odnowień. Historii obłowień. I nastawiania na zyski. Człowiek robi się śliski. Jak temat. Jak postanowienia. Od zera. I masz czas na stracenia. Wiele słów i kontaktów. Terrorystów. I ich paktów. Ja niczego nie podpisuję. Bo się dobrze, tu szanuję. I kolejny dzień. Kolejna świątynia. Swe życie zmień. A

nie, że się Boga nie ima. Nie dotyka. Nie próbuje. Ważne, czy się człowiek szanuje. Jak spotkanie. Moje z pemangku. Kolejnym. Następnym. Nie z braku tematu. Nie z braku poszlaku. Poszlaki wspominały. I tak mi powiedziały. Warto. Chwalić. I warto doceniać. Bo zawsze na gorsze może się zmieniać. Pemangku mówi dalej. Wylej swoje żale. Nie tłamsz tego w sobie. Bliski dobre słowo powie. Albo poklepie Cię po ramieniu. Doceniaj. I żyj na jednym tchnieniu. Na jednym żywotnym wiecznym elemencie. A nie jak złoczyńca, kolejne pchnięcie. Chwal za pomoc, oraz drobnostki. Żonę, dzieci. Przodownika wioski. Każdego kogo znasz. W pracy to dużo znaczy. Pochwała. I uśmiech, niech każdy raczy. Doceniać drugiego i się nie zamykać. Kochać jednego, a nie przed jednym zniknąć. Monity osiągnąć. I gratyfikacje spięć. Miliony zgłęć. Nieliczne wpadają w rtęć. I płoną. Jak dziewicze łono. Kalka to mówi. Kalka zostaje. Komu na pewno. Się lepszym staje. Historie brak. Panie o spraw. Historie kitu. Naturalnego styku. Chwal i doceniaj. Z byle powodu. Bo to te drobnostki. To brak jest głodu. Drugiego człowieka. Co na uśmiech czeka. Drugiego westchnienia. Które wszystko zmienia. I tak zakończył pemangku przemowę. Wspaniałą. Orzeźwiająca mowę. Znak sygnał. Kierunek. Odmieniło to mój wizerunek. Bo tak sobie myślę. Za mało było tego chwalenia. Za dużo intelektualizowania. Dumania. Odpowiadania w duchu. A za mało pozytywnych uczuć okazywania. Jakieś oddalenie, oczy mi zasłania. Zasłaniało. Bo się zmieniałem. Ta mowa to było mało. Poprosiłem o więcej. Poprosiłem o doprecyzowanie. A pemangku się tylko uśmiechnął. I powiedział, to na zawołanie. Dobrze zrozumiałeś. Już kiedyś powtarzałeś. Jako dziecko, ale zapomniałeś. Doceniaj. Tak bardzo się zmieniałeś. Ale nie przeceniaj. Trzeźwo. Z szacunkiem. Jak z wykwinnym poczęstunkiem. Nie powiedział więcej. Nie powiedział nic. Nie, że nie wiedział. Moje ciągnięcie za język to był pic. Ciągłe mi mało było mądrości. Ciągłe nienasycony. Odpowiadałem złości, jeszcze nie byłem zmieniony. Ale to z czasem przyszło. Po karu godzinach dochodzi. Prawdziwy sens. I to, że potknąć się, nie szkodzi. Ważne, żeby pamiętać. I jak najczęściej powtarzać. Widzieć piękny świat, a nie odsyłać świat do lekarza. Odpowiadać uśmiechem na uśmiech. Ale samemu sobie. Do drugiego. W drugim widzieć siebie. To lepsze niż w niebie. Albo takie samo. Podejście udeptano. JA-JA. Połączenie ma. Relacja. Człowieka z człowiekiem. Niczym się nie różnimy. A woda nie jest mlekiem. Niczym się nie gnębimy. I wiem to doskonale. Żyć trzeba lubić. Aby przegonić smutki i żale.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Chwalić, nie ganić
Nie ucz się chrzanić

Chwalić, nie pluć
Masz, też wroga, chuć

Raz na jednego
Dwa na drugiego

Odbijam od brzegu
Z dała zostawionego

PURA LUHUR NATAR SARI (8)

Czasami nasze błędy prowadzą do czegoś dobrego. Ważne co zrobimy dalej. Czy nie przykleimy się do złego. Czy nie przyzwyczaimy. Czy nie zrezygnujemy. I jak pokraka się nie nazwiemy. Chwała i chwila. Kolejna świątynia. Ósmy dzień się właśnie zaczyna. Głosem modlitw. Zapachem kadzideł. Gra na bębnach. Gamelan. Zgiełk. Ale pobożny i natchniony. Kieł. Zawsze będzie pochwalony. Byle Baronga. Byle zabawy. W dobru. W miłości. A nie szukać zwady. A nie pragnąć dziwacznych atrakcji spokojne życie. Z dala od od Boga wakacji. Tak powiedział pemangku w Pura Luhur Natar Sari. Doceniajcie spokojne życie. A ta myśl Was zbawi. A te gesty, nie rozbawi. Ale uspokoi. Ważne tak naprawdę, kto koło kogo stoi. Ważne tak naprawdę, co się dalej dzieje. A nie stracone decyzje i nadzieje. A raczej ich braki. Zapytasz kto to taki. A każdy takie ma. Brak radę Ci da. Gdy go przeceniasz. A nie o nim zapominasz. Bądź sobą. A stabilność to rodzina. To miłość. Nawet jak się nie przelewa. Za pieniądze miłości nie kupisz. Choć nie jeden się na to gniewa. Choć nie jeden się niepotrzebnie stresuje. W spokojnym życiu wolność poczuje. W spokojnym byciu zrozumie idee. I odkrywane, nowe nadzieje. W spokojnym byciu jest rozumiane znaczenie. A nie hałasy i upodlenie. Być i tworzyć. Swoją cichą legendę. Uśmiechy mnożyć. Co dalej ja przędę. Co dalej opowiadam. I kiedy się skradam. I zmyślam teorie. Historie. I Morie. Co dalej tu jest. I się wciąż zdarza. Odmiany i magia. Lepiej z tym iść do lekarza. Lepiej się posilić. Twarze rozchylić. I się zadomowić. A nie się głowić. Wszystko tu na raz. Nie raz strapione. I możliwe odmiany. Chcesz to mieć policzone. Chcesz to mieć wiadome. Za dużo chcesz. Dbaj o żonę. O rodziców. Rodzeństwo. O kolegów. Niech łączy Was podobieństwo. Niech nie dzielą Was podziały. Dzieli bowiem tylko człowiek mały. Szukać należy sposobów połączenia. A nie wspólnie zapomnianych grobów istnienia. Sprawdzać należy drogi ewakuacji. A nie poszukiwać notorycznych atrakcji. Spokój. Cisza. Wewnętrzna klisza. Spokój. Zaczynanie. Wewnętrzne dojrzewanie. Słów zmienianie. Dopracowywanie. Zdarzeń ponaglanie. Niepotrzebnych oparzeń. Pozwól życiu biec. Wykąp się w jego nurcie. Zanurz głowę. Ręce, nogi. To nie materiał na cudotwórcę. To nie materiał na superbohatera. Jesteś normalny. I codziennie zaczynasz od zera. Zwyczajny człowiek. W zwyczajnym świecie. Jeśli chcecie emocji, to za dużo nie wiecie. Wszystko jest tutaj. Masz to przed oczami. Każdy kolejny dzień. Nie wymieniaj się drabinami. Każda tak samo na górę Cię wyniesie. Każda tak samo i ja, pnę się. I pnę się moje emocje spokojem ugaszone. Normalność. Przytulę dzieci i żonę. Spokojne życie bez nerwów i głodów. Choć czasami potknę się. Gdy jest era lodów. Choć czasami zachwieje mną zachodni wiatr. Oniemieję. I pójdę dalej. Jakbyś zgadł. Nauka ta została w mym sercu gorącym. Żyję. Pragnę. Ale nie w potoku rwącym. Tylko w spokojnie płynącej rzece. Balijska nauka zmienia. I mądrze rzecze. Zawsze tak samo. Zawsze nie kłamiąc. W spokoju jest radość. Więc czerp z tej rzeki zadość.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Spokojne życie
Znasz to, nad życie

Doceń, chwilę ciszy
I przeżycie

Moment prawdy
Moment nadziei

Miłość to cisza
I nic tego nie zmieni

PURA TAMAN AYUN (9)

Niechciane dzieci. Traktowane jak śmieci. Niechciane idee. Ale co się z nimi dzieje. Wiarołomstwo i niezdołyte knieje. Bo i po co. Dobrze wiem co i jak się dzieje. Dobrze znam. Te stare pradzieje. Furiaci i celebryci. Monogamia. Skamandryci. Zdolniactwo i korkołomstwo. Wiadomo. Że Radomsko. Ale ja jestem od tego daleko. Tu na Bali. Piję z kokosa mleko. Ale ja jestem w swoim świecie. Świecie religii, wiecie czy nie wiecie. Świata tego pragnienie, lub gubicie go w lecie. Od upałów. Nadmiaru. Od zatracenia. Sennego koszmaru. Mnie tu jest dobrze. Ciągłe jeszcze rokuję. Choć tak wiele w zachodnim świecie mnie szokuje. Choć tak wiele chciałbym zmienić. Nadmienić. Albo zazielenić. Stworzenia mnożne, takie dwunożne. Stworzenia obfite, całkiem znakomite. Witają mnie uśmiechem. Wołają znowu. Już mnie poznają. Nie wiem, może po tułowiu. Już się zakładają. Nie wiem o co chodzi. Do powiedzenia mają. O co się rozchodzi. I stworzenie wydatne, całkiem zdatne. Głaszczcie mnie po głowie. Nie będzie stratne. Kolejny dzień, ruszam do świątyni. Podziękować za życie. Być jednym z innymi. Którzy dnia bez Boga sobie nie wyobrażają. Nie to że trwoga. I tak się podkulają. To nie o to chodzi w życiu. W tym ciągłym zaczynaniu. To nie tak, że tonę w najprostszym zdaniu. Jest jak jest. I inaczej nie będzie. To co dobre, można odnaleźć wszędzie. Nie tylko na Bali. Nie tylko tutaj. Miara jest wiara. Daleko nie szukaj. Ja musiałem aż tutaj przyjechać, aby zrozumieć. I doświadczyć, co to znaczy życie umieć. Więc doświadczam i słucham kolejnego opiekuna świątyni. Co chętnie mówi. Dzieli się słowami tymi. Pemangku. Bo tak go tu nazywają. Jest ważny. Kiedy głązy na głowę spadają. Mówi dzisiaj o miłości. Żeby nie stać się jej więźniem. Żeby kochać także siebie, a nie wychodzić z ciężkim orężem. I nie zatracić zdrowego podejścia, które dyktuje serce. Zastaniając się rozumowym postrzeganiem. Nie trzeba mi nic więcej. Serce kocha, ale do miłości nie zmusza. Takiej wypaczonej, na siłę nie przymusza. By być popychadłem i wykorzystywanym, spadłem. By być ofiarą, o to mu chodziło, odgadłem. Ofiara miłości. Czy to w ogóle możliwe. Jeśli miłość wypaczona, oczy stają się lęklive. Jeśli miłość ze strachem związana, staje się wyłącznie pożądana. Żle to się kończy. Nie jest sprawiedliwie dograna. Prawdziwa miłość nie oczekuje. Prawdziwa miłość nie zmusza. Kocha. I w tramwaju miejsca ustępuje. Rozporosza. Rozproszy wszystko co niepoehlebne. Chwali. Postawy zwiewne. Kochać i żyć spokojnie do końca. Przenieść ziemię do nieba. Do słońca. Tak trzeba, można. Nie muszę powtarzać. Chwila swobodna. Trwożna. Czasem można się stawać. Odgadywać. A nie przed życiem się skrywać. Dogadywać. I życie używać. Chwila czynna, chwila bierna. Pemangku mówi zwiewna. Rodzina. Niedokładne tłumaczenie. Historia. I jej odrobaczenie. Ta preria i jej niedoścignienie. Historia. Masz o niej postanowienie. Byłem i się

stałem. Odnowiłem, bywałem. Chciałem i wiele dostałem. Od Bali. Więcej nie chciałem. Ale brałem. Czułość każdego kontaktu. Zadowolenie z jedzenia faktu. Nigdzie mi tak nie smakowało. Jak dziś. Ryż z liści bananowca. Pod świątynią mało. Mało kosztowało. Ale się dalej chciało. Mało odmieniało, ale się dowiadywało. Co warto. A czego nie. Po co to życie. I dlaczego tak żyć się chce. Zdarzenia. Winne i niewinne. Odmiany. Byle zawsze stabilne. Zmiany. I historii kontakty. Odmiany. I niezaprzeczalne fakty. Odmieniane na wszystkie przypadki. Szczęścia, ze szczęściem kontakty. Wymieniane za odrobinę ryżu. Uśmiechy. Byle tu, w pobliżu. I tak na łące, przy polu ryżowy. Siedzę i zmiotam złe chwile z głowy. Patrę już jak słońce zachodzi. I czego tak naprawdę to dowodzi. Tylu opiekunów świątyni, słów. Tyle tak budujących mów. Co jeszcze mnie czeka. Jak długo. I czy zawsze będzie jak teraz, grubo.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Wiele jest ofiar
Wypaczonej miłości

Wiele jest par
Które żyją w złości

Kto ile
Kto jak

Dlaczego popierasz
Wypaczony świat

PURA ULUN DANU BRATAN (10)

Co jest dobre a co złe. Czasami nawet mnie myli się. Nawet pemangku z kolejnej świątyni. Może pomylić się co do chwili. Co do słowa, czasami. Zdanie to między zdaniem. Otwarte i wiecznie, wciąż proszące. Nadzieje, oby zawsze się tłące. Podboje i historie wątpliwe. Pokaż minę. I okazanie ckliwe. I ciekawe co smok stróżujący. Powiedziałyby gdyby był myślący. Wiele stworzeń, także żaby. Znajdziesz tu w Ulun Danu Bratan, w dzień zagłady. I bez dnia ostatecznego. Zgrywanie się. Nie widzę w tym nic złego. O ile zgrywamy się z naturą. Człowiekiem. Spokojem. Porządkiem, a nie, sami wiecie. Z tym co kłody kolejne stawia. Dziury. Podkopy. Wiecznie coś poprawia. Wiecznie zmienia spokojny stan rzeczy. Mnie nie docenia. Zło. Ten zaprzeczy. Czasem przecenia, dobro, wolne żarty. Już nie pamiętam, kiedy byłem miłością nażarty. Ciągłe mi jej mało. Ciągłe mi jej brak. Szukam po świątyniach i to ważny znak. Że tu faktycznie bywa. Z ludźmi i darami przybywa. Że tu faktycznie jest. Bo życie to jest test. I zaskakuje z każdej strony. I znowu próbuje, czuj się doceniony. Dla Ciebie tu przychodzi. Kolejna świątynia dowodzi. Dla Ciebie tu jest. Przyszła, jest, to ją weź. Przygarnij dobre słowo i uśmiech wydatni. Zrozum, że jesteś mową, a co dalej zgadnij. Zrozum a nie kręć głową jest jedna dziedzina. W woli. I przymierzeniu. Życie to nie kpina. Kolejny pemangku miał swoje do

powiedzenia. Mówi, żeby unikać niezdrowego jedzenia. Mówi, żeby unikać atrakcji zachodu. Agresji i seksu, bo doświadczasz obu. Za dużo. Zbyt odważnie. I wszystko nierozważnie. Telewizja, gry, internet. Psuje to człowieka strasznie. I zabija w człowieku oryginalność duszy. Wyjątkowość umysłu. Zaciąga człowieka do głuszy. Wszyscy tacy sami. Ze swoimi pragnieniami. Wszyscy tacy sami, z postaciami i gramami. Klikaniami, główkowaniem. Świat zachodu nie jest Twoim zadaniem. Żeby go zdobyć. Być najlepszym na osiedlu. Żeby się stworzyć. I po raz któryś upokorzyć. Agresją i złością. Patent mamy na nią. Tu na Bali. Uważa się ją za tanią. Taniocha, nikt jej nie chce znać. W popłochach trzeba od niej gnać. Do świątyni, albo zatopić się w pracy. Kreatywnej, a nie raj tu dla bogaczy. Sukcesywnej, tworzenie ciągle, powtórzenie. Tego co dobre. Ma to wielkie znaczenie. I choć czasami się człowiek pomyli. To wyciągnie wnioski i nie czeka już ani chwili. Następnym razem. W zgodzie z pięknym obrazem. Z Kamasan. To sąd, tu przywieziony. Nagrody. I z widokiem musi być zmieniony. Przygody i dalej rozplątany. Balijski świat. Nie jest pożądany. Ludzie zachodu go nie rozumieją. Być częścią społeczności. Oni już tego nie umieją. Dbać o tradycyjną sztukę. Teatr, taniec, malarstwo. Wszystko tu dla Bogów. I nie jest to moje łgarstwo. Wszystko tu dla życia i nic nie przeinaczam. W tym wspaniałym świecie, się doszczętnie zatracam. Szukanie Boga. Wszędzie w zasadzie można. Ale tu każdy pokazuje. A nie chwila trwoźna. Ale tu każdy daje znaki. Złóż ofiarę. A nie będziesz byle jaki. Canang sari przed wejściem. Canang sari w koszyczku. Canang sari w samochodzie. Już dostaję mętliczku. Canang sari do świątyni. I wszystkie codzienne wymieniane. Rano. Na nowe. I łącznie z domem okadzane. Byle złe duchy się z dala trzymały. Byle złe duchy o nas nie pamiętały. I to działa. Człowiek czuje się inaczej. Gdy tak dba. Pamięta. Cieszy się częściej, raczej. Cieszy się wspaniałym postępem wciąż ducha. I śmieje się. Ciągle. Od ucha do ucha. Prężne chwile. Na wierzch, tu wyciągane. I już wiesz, że nie zostanie, jak obietnica złamane. Bo jedność ma być trwała. A nie tylko od święta. Bo buzia nie może być raz do roku uśmiechnięta. I nie mówię tu o szyderym uśmiechu zachodu. Ale o zwykłym, naturalnym. Co nie ma w kontekście głodu.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Agresja

I zachodnie głody

Jesteś jak zombie

Brak Ci ośrody

Brak naturalności

I siły woli

Która tylko na dobro

Zwyczajnie pozwoli

PURA BESAKIH (11)

Wiele jest słów i odstępów. Wiele mądrości i wykrętów. Znaczenie państw i kontynentów. Sprzężenie chwil i chwilowych przekrętów. Znaczenie stoni. A on Cię dalej goni. I pierwszej pracy. Chwil, co dostajesz na tacy. To zwątpienie, to przygnębienie. Mija, jak kolejny serial na antenie. Zbierasz się w sobie i pokazujesz. W życiowej zgodzie. Z sobą się siłujesz. Historie rozpoczęte, niedokończone. Zdania na zawsze, tu ukończone. Chwile na Bali lecą inaczej. Nie lądują. Łapie je w locie raczej. Chwile na Bali nie chcą zapłaty. Tylko pobłogosławić. W ramach zapłaty. Że jesteś, że się starasz. Miłości na wiele pozwalasz. Że wierzysz i ciągle bieżysz. Nie ważne, czy mi uwierzysz. Jedź i sam zobacz. A będziesz tam wracał jak ja. Kolejna przygoda, i uśmiechnięta twarz ma. Twarzą zna. Balijski świt. Dla mnie gra. I dziś święto. Kolejne w kalendarzu. Dla mnie rozpoczęto. Jak pióro w kałamarzu. Jadę do Pura Besakih. Świętego tak miejsca. Nie zabiera, tylko daje. Wypełnione do ostatniego miejsca. Gra, muzyka i modlitwy. Poświęcenia hektolitry. Wspaniały kompleks, oniemiałem. Kto to wybudował, sam siebie pytałem. I jestem, uczestniczę w uroczystościach. Jem z miejscowymi. Czuje to w kościach. Że dobrze mi robi, to podróżowanie. Czuje się szczęśliwy. I mam ochotę na nie. Ciągłe zaczynanie. Ciągłe z Bogiem się witanie. Poprzez balijskie usta. Poprzez powtarzane słowa. Jakie to piękne. Zaczynam od nowa. Spotkałem wysokiego urodzenia pedandę. Uśmiechnął się, wiedział, że nie narobię grandy. Wiedział, że jestem tu po coś. A nie po zdjęcie i złość. Które takie zdjęcia wywołują. Bo się widziało tylko zdjęcia, a nie czuło. Bo dla wielu świątynia to niestety kolejna atrakcja. Jak obwarzanki na dworcowych stacjach. Pedanda wypytał mnie o wszystko i pobłogosławił. Przykleił ryż na czoło i Boga sławił. Powiedział też trochę o błogosławieniu. O Boga ściąganiu. I przy sobie postawieniu. O w Bogu się cieszeniu. Dla Boga odżywieniu. Duszy. Że trzeba. Żyć, kochać. Taka potrzeba. Że można. W Bogu oddychać, a nie chwila trwoźna. Nie tylko wtedy, gdy wszystko się wali. Ale także, gdy pozostajesz na fali. Nie tylko wtedy, gdy wszystko stracone. I nie wiesz już, gdzie szukać żonę. Wiele możliwości. Wiele pobożności. Wiele kontaktu i ubitego traktu. Do tej pory nie doceniałem. Wartości błogosławieństwa. Może go nie miałem. Wartości uroku, który roztaczasz natchniony. W Bogu żywy. Z Bogiem połączony. Było jak było, teraz się zmieniło. Jest jak jest a życie to test. I zbieranie się na dwa. I kochanie ile się da. Jest i było. Możliwie do brzegu przybyło. To dorastanie. Z dobrem się witanie. To nadążanie. I Boga poznawanie. Z dnia na dzień. Kolejna wędrówka. Jak po Besakih. Nie ważne czy wdówka. Każdy przechodzi ze świątyni do świątyni. Wznosi się coraz wyżej. A ja między nimi. I czuję sens i przeznaczenie. I rozumiem co znaczy istnienie. Kontynuuję, na nowo, odrodzenie. Składam dary. Nie na pokuszenie. Żyję i cieszę się tym życie. Tyję, moja dusza, co ode mnie chcecie. Każdy może przejść taką wędrówkę. We wnętrzu siebie. Odbyć z Bogiem potańcówkę. Wszystko jest tu. Na zawsze dograne. Spędzam noc z powiek. O sobie opowiem. Dalszą część. Która mnie stworzyła. Nowego człowieka. I ze mną już do końca była. Nowa wiara. W starego Boga. Naszego. Tutejszego i tamtejszego. Bo nie ma innego. Bo nie ma lepszego. I nic lepszego Cię nie może spotkać. Niż jest. Niż dzieje się fest. Choć czasem uwiera. Choć nie grasz roli konesera. Różnie. Czasem praca w polu. Pomagając rolnikowi. To sprawa honoru. Chyba, że wolisz opalać się na plaży. To zmień się w czerwień, a mnie się życie marzy.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Błogosławię Ci
Każdego dnia

Powiedział Bóg
To są słowa dwa

I odkrycie
Nie zakrycie

Być stwarzanym
A nie odtwarzanym

PURA TANAH LOT (12)

O mój Jezu. Pomyślałem na Bali. Jakie to wszystko podobne. Gdy się jednego Boga chwali. Jakie to wszystko prawdziwie i niewiarygodne. W swej prostocie. I w odbiorze swobodne. Jak można cieszyć się i na Boga wskazywać. Jak można wierzyć, a nie się doigrywać. W ramach młodzieży. W ramach instytucji. Kolejne otwarcia, wciąż nowej ablucji. I śmiech, co się cieszy a nie krytykuje. I grzech, co ucieka, albo zaniedbuje. Historie zdarzeń, miliony obdarzeni. I jednej nadziei, co wszystko wnet zmieni. Od razu. Z przytupem. Nie w ramach zakazu. Z brudnym butem. Teorie się tworzą i powtarzają. Wersje się mnożą. I marsza grają. A ja znowu. Poznają przyjaciół. Pięknych, wspaniałych. Od tego bym zaczął. Którzy widzą, że ich szanuje. A oni mnie. Ciekawe co to zwiastuje. I jak pięknie nowe rozpoczęcie. I nie zgięcie na firmamencie. Historie mnogie. Ale nie ubogie. Historie prawdziwe. Ani przez chwile, lękliwe. I kolejny dzień. Sam siebie stwarzam. Nie jestem leń. Szczęście pomnażam. Nie mów mi żeń. Mam to za sobą. Ważne co dalej. To co przed Tobą. Dziś pora na Tanah Lot. Wspaniałą, a nie jakiś gniot. Choć zachodzoną butami turystów. Tak rozwarstwioną, jak tuziny przystów. Oby na zawsze. Oby bez poprawek. Szukanie siebie. A nie materiał do zdawek. Szukanie szczęścia w boskiej krainie. I Tanah Lot co nigdy nie zginie. Nie przestanie zaskakiwać. Nie przestanę jej podziwiać. I nabożeństwo. I te kolejne słowa. Pemangku. Taka była jego mowa. Odpowiedzialność. Musisz o niej pamiętać. A nie jak przez palce. A później trzeba stękać. Odpowiedzialny musisz być za życie. Za siebie i rodzinę. Pewnie się nie dziwicie. Ale chodzi o dogłębne zrozumienie. Że to tak naprawdę nasze sumienie. Ale chodzi o to kto Cię wyswobodzi. I dlaczego. A nie, że się po kościach rozchodzi. Wiara w cuda nie wystarczy. Trzeba pokazywać życiem. Nie mów w kółko, Boże starczy. Bo będzie miał z Ciebie ubaw. Nie jeden anioł, który Cię przygarnie. Nie jeden zdjął, bagaż i skończył marnie. Swoje bagaże, trzeba pilnować. Dbać a nie na nowe polować. Odpowiedzialność nie tylko za rzeczy. I nie jeden tu nie zaprzeczy. Odpowiedzialność za szczęśliwą minę. Twoją, obejmuje też przyjaciół i rodzinę. Wszystkich. Wrogów także. Twoje zadanie to nauka. To jest ważne. Żeby sobą pokazywać. Że z godnością można nawet przegrywać. I z uczynnością. Bo jesteś odpowiedzialny. Za świat stworzony, no i zdalny. Bo jesteś tu niezmiernie potrzebny. By pomagać, a nie być ciągle bierny. To wszystko dla Ciebie. Ty zbierzesz owoce. Poczuć się jak w niebie. A nie poczuć jak się pocę. Wszystko jest tu. Na

ziemi stworzone. Przetrzyj oczy snu, będzie odtworzone. Wszystko na raz. Jeden dalszy wyraz. Wszystko kochane i na nowo odkrywane. Zdalność niestety wchodzi w krew korekty. I zmienia. Ludzi w zwierzyń, insekty. Gdy się zagonisz i zapomnisz o puencie. Kiedy nie zwolnisz, i rachunek będzie. Za wysoki, nie do utrzymania. Albo zbyt głęboki. Dostyc tego stania. Trzeba się cieszyć i wiecznie powtarzać. Nie ciągle grzeszyć i przed karą się wzbraniać. Sam budujesz sobie własne, swoje szczęście. Albo sprowadzasz niechybnie tutaj nieszczęście. Do namysłu. Przeanalizowania. Duchem czytania a nie leserowania. Wszystko jest tutaj. Wiecznie dla Ciebie. A finał tej podróży. Jak zawsze jest w niebie.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Odpowiedzialność naucza
A nie tylko poucza

Odpowiedzialność daje
A nie od reszty odstaje

W miarę chwil
I możliwości

Steruj Życiem
A nie kołtunem z kości

PURA PENATARAN PANDE KURIBATU (13)

Było jak było. Ale się zmieniło. Historie poznane. Ale niedokonane. Albo te które czkawką odbijają się. Naprzemiennie. Ciągłe zmiennie. Dla zabawy. I niedokończonej stawy. Głody, słowa, pozamiatane. Moja mowa, musi być zagrane. Rozegrane. Rozedrganie. Chwile i chwil dociekanie. Było to, tamo. Zadaje kłam, to. Zdanie podważa. Uśmiech niedouczzonego lekarza. Zdanie się zdarza. I nie pozwoli zapomnieć. Uśmiechy pomnaża. W natłoku wspomnień. Dlaczego takie dalekie miejsca nas uczą. Dlaczego butelki są całe, zanim się stłuczą. I niewinne spojrzenia na siebie. Koligacje. I tłok na moim pogrzebie. Starego, zgnuśnialego. I na narodzinach nowego. Warto wspomnieć. Oby nie zapomnieć. Warto dawać. I nie przestawać. Słowa i bajki. Takie samograjki. Słowa zostawione. Na lepsze przestawione. Idę. Do kolejnej świątyni rankiem. Nie zadowolę się jedynie gankiem. Chcę być w centrum. Duchowego odnowienia. Nie chce żałować. Ciągłego zawodzenia. Jest ta historia. I są naleciałości. Wszystko to Moria. O ile nie wymaga ilości. Ilości ciszy i modlitwy głębokiej. Wszystko na kliszy, duszy, jednookiej. W nie jestem tu sam. Są inni wierzący. Pobudzający. Jak palnik tnący. Tylko buduje. Mnie i rodzinę. Naszą wielką, tutejszą gminę. Która mnie przyjęła na jeden dzień. Wytłumaczyła. I nie mówiła, tylko się zmień. Przyjęli mnie jak swojego. Jak dla Boga przeznaczonego. I trwam w tej cichej porządności. I żyję. Nie tylko w byle jakiej ilości. W świątyni spotkałem też pemangku. Który nie wstydził się kolejnego znaku. Który powiedział mi wprost z uśmiechem. Aby nie przejmował się każdym grzechem. Tylko szedł do przodu. Bez

rozpamiętywania. Z czystą głową. Dla Boga przyjmowania. Zbytne karanie siebie nic nie daje. A błędy.. każdy od nich mądrzejszy się staje. O ile patrzy, o ile widzi. A nie tylko się za potknięcie wstydzi. A nie tylko udaje, że się to nie zdarzyło. Racjonalnie. Było to było. Ale ważne co będzie. Ważne, czy siedzimy na tej samej grzędzie. I czy kochamy. Albo tylko o miłość się zakładamy. Wiele roztworów. Wiele kolejnych wzorów. I cienkich zdarzeń. Powodem oparzeń. Takie karanie. To nie wychowanie. Takie karanie, w gardle tylko stanie. I masz co miałeś. Kolejne perpetuum. I miliony zdarzeń. Co chcesz ze sklepu. Ze sklepu porządności. Ze sklepu wspaniałości. Może balijskie słońce, w sercu Twoim zagości. Może zrozumiesz i pozostaniesz we wspaniałości. Pemangku na końcu powiedział, wszystko widzę. A myślałem, że to ja szydę. Ale nie, może faktycznie. Jeden z wielu, to syntetycznie. Jesteśmy całością. W całość ubrani. Wszyscy to samo. Wszyscy uznani. Wiele tych chwil. I kolejnych pociągnięć. Zdarzeń i dalszych niedociągnięć. Trzeba na pewno. Trzeba na skraju. A ja się dobrze czuję w tym gaju. Tu pośród palm. I bananowców. Tu zbudowany. Bez zbędnych śniegowców. Byłem i jestem. I taki pozostanę. Zmieniony. Bo zmiana się rodzi nad ranem. Zmienić odczuwanie, to nie ujma dla Ciebie. Uwierzyć. I swoje życie przeżyć. A nie w ziemi grzebie. A nie szuka byle czego. Zdarzenia, i nie masz nic z tego. Mnożenia. I nic Ci nie potrzebne. Pragnienia. I oddania, wszystkie jedne. Słowa się na mnie zawiesiły. I już tak zostały. I już takie były. Nie muszę dopowiadać. Nie muszę się spowiadać. Tu każdy rozumie. I swe życie umie. Uśmiechem poświadczony. A nie rozumem. I przez rozum zniszczone.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Nie karz siebie
Dobro mówi do Ciebie

Nie karz innych
Z natury niewinnych

Każdy może zbłądzić
Każdy może stracić

Na złości
Tylko zły może się wzbogacić

PURA PASEK GELGEL AAN (14)

Dobra wiadomość. Kolejny dzień. I Jego jegomość. Swe życie zmień. Było jak było. Rano padało. A później mi się siedzieć nie chciało. Więc do świątyni. Kolejna wspaniała. I Ci ludzie. Westchnień co nie miara. I się zbliża. A nie oddala. Finał. I moja kolejna ofiara. Canang sari. Odświętnie ubrany. Wierzę, że Bóg ma w stosunku do mnie plany. Wierzę, że Bóg dobrze wie co robię. I od tej wiary już nigdy się nie wyswobodzę. Było jak było. I trochę jeszcze pokropiło. Ale przecież nie szkodzi. Nie doczekamy się powodzi. Ale przecież ważne kolejne odchodzenie.

Miłe i piękne. Moje natchnienie. Odchodzi złe. I myśli natrętne. Trzeba przyznać się. A nie tłumaczenie natrętne. Historie skryte. A może odkryte. Zdania zapomniane. Na wieki zakopane. Wiele się stało. Bo wiele stać się miało. Zrozumiałem swe błędy. Karać mi się nie chciało. Zrozumiałem postępy. Jakie w życiu swym robię. Nie będę natrętny. Ze złego się wyswobodzę. Bo jest Bali. Świątynia obok świątyni. I ludzie. Tutejsi, nie inni. Tylko ja niedobitek. Tylko o mnie tu chodzi. Powtarzanie i trwanie. Nic mnie nie zagłodzi. Nic nie sprawi, że upadnę bez powstania. Chwile grozy i chwile wahania. Masz możliwe dni i okoliczności. Nie lękliwe zachody. I zapach kości. Bo pogrzeb był. Zdarzają się i takie. Chwile i nie uciekam. Nie wszystko różnorakie. Ktoś widzi mnie. Ktoś słyszy cmentarz. I widok nietoperza. Pytanie tylko dokąd on zmierza. Jedno na drugim. Jedno w drugie uderza. Chwila po chwili. Idę skorzystać z dalmierza. I wiem już. Jak długo jeszcze. I nie straszne mi żadne deszcze. Wichura, wstyd, wspomaganie. Ważne, żeby na nie, było odreagowanie. Ważne, żeby nie skończyło się na byle czym. I wchodzę w to dziś. Jak w nieznośny dym. A w świątyni znów klęczymy. A w świątyni znów siedzimy. Już nie rozróżniam, co jest czym. To to samo. Znajdę rym. I rymem tym się z Tobą podzielę. Jak, tak liczni, moi przyjaciele. I pemangku. Co świątyni pilnuje. Sprawdza i pyta czy dobrze się czuję. Bo po wyglądzie można dużo powiedzieć. A mnie doskwiera noga. Ciężko mi na twardym siedzieć. Ale cóż. Czasami trzeba. I nie każdy jest kolegą, ale ten pemangku był. Żył, mówił. I w duszy tył. Przemówił. Słońce, księżyc, wszystkie planety. Są jednym, stety, niestety. Tak jak i nasze przyzwyczajenia. Kręcą się. Efekt boskiego dążenia. Powtarzania. Uwypuklenia. Cała przyroda to pokazuje. Jak to wszystko mocno wiruje. I za sprawą czego. A może w nagrodę. Biorę łyk wody. Tak na ochłodę. Po co natura tak się narzuca. My, tutaj. I powietrzem wypełnione płuca. My, wtedy. I na wiecznie złączeni. A nie, żeby. Od czapy, podzieleni. Trzeba pamiętać. Trzeba medytować. A nie się w płycie chodnikowej schować. I te delicje. Nasze tradycje. A nie, przeszkadza koniu podkowa. Zdarzenie, wychodzimy i klepie mnie po ramieniu. Jakiś starszy balijczyk. Widziałem go wcześniej w cieniu. I mówi, otuchy dodaję, drogi panie. Masz wszystko. Albo tylko czekanie. Te słowa podziały na mnie w sposób olbrzymi. Odbiły się. Wróciły. Jestem między nimi. Czuję. Żyję. Odpoczywam. Niczego tak naprawdę nie ukrywam. Jestem szczery, tak jak moje intencje. A nie poniewierka i niewiadome intencje. A nie zagraniczne obchodzenie problemu. Zdarzenia. Skłaniam się ku temu. Na nowo. Otworzenia. Kłaniam się dobremu. I przymus. I mus. Pozostawiam wiernemu. A Ty możesz. A Ty czekasz. Tylko po co. Dlaczego zwlekasz. Rozpal i odpal. Kolejną raketę. Poczuj niebo, a nie następną podniętę.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Boskie dążenie
To doskonałość

Wiem co mówię
I zdania nie zmienię

Wielu się głowi
Wielu w nogach mrowi

A ja już się dowiedziałem
I na dobre zostałem

PURA PUCAK TEDUNG (15)

Dziś świt był wyjątkowy. Choć każdy jest jak zawsze nowy. Ale dziś wszedłem na Agung. Wulkan. Święte miejsce. Ważne przejście. I złożenie ofiary. Bo na Agung mieszkają Bogowie. Ten tylko się dowie. Kto tu wejdzie. I złożę im ofiarę. Canang sari. Za bezpieczeństwo. Żeby na świecie nie tryumfowało szaleństwo. Żeby na świecie nie tryumfowała bieda. Tego, to znaczy miłości, nam trzeba. Przewodnik był wyrozumiaty. I uśmiechnięty. Od rana cały. Bo w nocy przed wschodem, skupiony. Nie chciał być przez wypadek potrącony. Bo łatwo się zgubić. Łatwo o potknięcie. Grunt niepewny. Żyje. Taki ma zajęcie. Wyziewy i gorące skały. Agung żyje i mamy pewne obawy. Ale udało. Choć zabrakło nam po drodze strawy. Zapomnieliśmy zabrać, spakować, ciału dać. Los. Nie chciał się przed nami chować. Stos, trzeba życie odbudować. Dopiero wieczorem dotarłem do świątyni. Wejście, zejście, nie pomaga że się dymi. Przewodnik zabrał mnie do swojego miasteczka. I razem poszliśmy nie w samych majteczkach. Tylko w sarongach. Jak Bóg przykazał. Do Pura Pucak Tedung. Kierunek mi wskazał. Tłoczno było. Dużo się działo. Wieczór, a ludziom się dalej chciało. Być blisko Boga. I dla Niego żyć. Bo to jest swoboda. Szczęśliwym być. I to szczęście jakoś do mnie przylgnęło. I nareszcie. Prawie się wywinęło. Ale złapałem go w locie. I już było w kłopotcie. To zostało. I ze mną się dobrze miało. W świątyni spotkałem pemangku. Który tak pięknie mówił. Wypytał skąd jestem i tak mi przemówił. Ludzie teraz się przemieszczają. Obce tradycje poznają. Ludzie teraz dużo pytają. Chcą, to mają. Chcą to dostają. Byle by mieć czyste intencje. Byle trzymać cały świat w jednej ręce. A nie od tego świata uciekać. Jest, jaki jest. Czasem trzeba poczekać. Ale nie krytykować i nie obarczać winą. Świat to my. Jesteśmy wielką rodziną. Świat to nie złe psy. Spacerujące doliną. To my, a nie okryci kpiną. Zły. Mówisz. Może tak. Może nie. A mnie zdaje się. Że zło się równoważy. W każdym człowieku. Widać to na twarzy. Bywamy uśmiechnięci, a bywamy smutni. Czasami jesteśmy dla samych siebie okrutni. Ważne, żeby nie uciekać. Żeby zostać tutaj. Gdzie jesteś. Nawet w brudnych butach. Bo buty można wyczyścić. A nie wiadomo co gdzieś tam będzie. Czystość to Bogów narzędzie. Nie uciekać od świata to nie grać roli wariata. Co krzywdzi sam siebie. Bo wielka z tego strata. I natarczywe rozpoczynanie. I się z drugim na mózgi zamienianie. To do niczego nie prowadzi. Chociaż mówisz, nie zawadzi. Właśnie o to chodzi. Że dużo wadzi. Szkodzi. A nie tylko państwo młodzi. Świeżo poślubieni. Świeżo nauczeni. Tu na Bali. Wszyscy jesteśmy z tej samej ziemi. Ale każda ziemia rodzi swoich bohaterów. Cichych. Szukających kolejnych szmerów. Ale każdy moment na nowo rozpoczyna. A nie że zgubiona kolejna dolina. Dbaj o siebie i chwal Bogów w niebie. Albo na Agungu. Jak trzeba, w potrzebie. Słowa, gdzieś. Zdolność, nie wiem. Ale jednego za to jestem pewien. To wszystko działa na Ciebie i buduje. To wszystko się powoli snuje. Żyć szczęśliwie i powabnie. Milczeć, kiedy noc zapadnie. Żyć przygodą tu nad wodą. A nie mieszać się niepotrzebną wygodą. Jak w kotle. Jak w przyczynie. Prawdziwa mądrość nigdy nie zginie. Jest przekazywana. Jest dalej podawana. A Ty na jakiego założyłeś Pana? Uśmiechniętego czy gniewnego. Nie mów tylko, nic Ci do tego. To ważne kto Cię otacza i dłaczego. To ważne, że

masz siłę i chęć do dobrego. Sprawdza się. I dalej powtarza. Mądrość. Co prawdę zawsze stwarza.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Nie uciekaj od świata
Bo marna będzie Twoja zapłata

Nie uciekaj od siebie
Bo skończysz w marnym gniewie

Historia powtórzeń
Historia znaczeń

Miliony wątpliwości
Powodem rozkraceń

PURA BALEM BATUR (16)

To już ponad dwa tygodnie. Mojej wielkiej zmiany. Ze światowca w balijski sarong ubrany. Szukający. Nie. Znajdujący. Całe dni. I tak zmienia się perspektywa. Orbitowanie. Kognitywa. Stare było. Odeszło w cień. A nowe cieszy się, jeszcze trochę się zmień. I tak rozmawiamy. I się przekomarzamy. I tak powstajemy. W lepszej pozycji się znajdziemy. Tworzymy. Dzielimy. Uczymy, nie kpimy. Tutaj. Na końcu tego świata. A może na początku, taka złego strata. I się staje. I się poznaje. Nowe. Na głowie nie staje. Tylko żyje. I się pokazuje. Tylko tyje. I się w szczęściu snuje. Od serca do serca. Od głosu do głosu. Szuka. Ma. I nie potrzebuje pogłosu. Ale pogłos ma. W szczęściu. Nie napięciu. W gaju, to tak jak w raju. Ale mało rajsko było na mojej dzisiejszej wyprawie. Na cmentarz Trunyan. Byłem tam w pewnej sprawie. Aby ich tradycję zobaczyć. Lokalne grzebanie, może wiele znaczyć. Ale nie znaczyło. Układanie kości obok siebie, mnie trochę zniesmaczyło. I podobno nie śmierdzi. Bo święte drzewo rośnie. Zwłoki się rozkładają, jak przy europejskiej sośnie. Było jak było, ale później milej się zrobiło. Jeden z mieszkańców Trunyan zaprosił mnie na obiad. Ryba z ryżem, nie było mi szkoda. Skorzystałem, w walącej się chatce. Chciałem zapłacić, ale tutejszy nie chciał słyszeć o takiej gadce. Miłym być i przyjmować. Gości a nie się przed nimi chować. Wiele to dla mnie znaczyło. Znaczy. To samo- jest i było. Później tradycyjnie do świątyni. Zmieni się, czy się dalej dymi. Później tradycyjnie dalsze modlitwy. Jaki ten świat modlitwy jest śliczny. Można podziwiać, można rozmawiać. Bóg odpowiada. Pokłony dawać. A nie się skrada. A nie odpada. Jesteś kim jesteś, a nie jakaś zwada. Byłeś kim byłeś, ale się zmieniłeś. Wszystko przed Tobą. Już wiesz po co żyteś. Będzie piękniej. Będzie radośniej. Życie. A nie igranie na sośnie. Tycie. A nie szukanie w zachwycie. Używek. Głódów. Kolejne zbycie. W Pura Dalem Batur również był opiekun świątyni. I rozmawiamy. Jak to między swoimi. I się zwierzamy. Z dzisiejszego dnia. I postanawiamy. Że lepiej się da. Więc tworzymy. Słowo za słowem. Się widzimy. Aby tylko

mądrze trzymać głowę. Każdy po swojemu. Każdy w swoją stronę. Czyli tą samą. Nikt tu nie zamiata ogonem. Jesteśmy razem. I razem pomrzemy. My, którzy rządów duszy zawsze chcemy. I nie naśladujemy. I nie udajemy. Jesteśmy i siebie znajdujemy. Pemangku mówi, że nie jest mu ciężko. Choć ma dużo obowiązków. To jest zwycięstwo. Mówi, że praca to przyjemna rzecz. A nie przymus. Co by tu jeszcze rzec. Mówi, że ważne, by robić coś od serca. I dla serca. A nie jakiś przestępca. To zawsze źle się kończy, jak ktoś oszukuje. W pracy, ile może, tylko kombinuje. Trzeba być uczciwym w swojej pracy dla ludzi. Ani trochę lękliwy, bo to tylko złego budzi. I cieszyć się. Nawet z najmniejszego sukcesu. W pracy. A nie nabierać w wiadro interesu. Co się opłaca a co nie. Tylko głupiec tak myśli. Ważne, że żyć się chce. A nie najgorszy scenariusz się wyśni. Notorycznie odpowiadać. Żyć, dążyć. A nie się skradać. Notorycznie chwile łapać. A nie do nich przygarbionym człapać. Praca i dla mnie wiele znaczy. Spełniam się. Pracuję. Raczy. Czasem ktoś niekiedy. I później rozlicza się z własnej biedy. Bo biedny jest człowiek uzależniony. Od pieniądza. Wszechobecnej mamony. Pracować trzeba, dla siebie, dla ludzi. A nie patrzeć jak ktoś na godziny kawę studzi. Różni ludzie. Różne podejścia. Ważne też, by nie blokować przejścia. Zostać i kochać. Pracę i rodzinę. Obcego brata, co niczemu nie jest winien. I dzisiejsza podróż na cmentarz. Łódką. Niech będzie to dla Ciebie zachęta. By nie pływać byle gdzie, bo i po co. Bo możesz się obudzić na cmentarzu Trunyan pewną nocą.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Tylko praca od serca popłaca
Inna człowieka tylko zagraca

Sprawia że cierpisz i się tylko zmuszasz
Ale co człowieka tak naprawdę zmusza

Zmuszenie pierwsze
Zmuszenie drugie

Liczysz sekundy
Dlaczego są tak cholernie długie

PURA SIWA (17)

Po raz ostatni. A może po raz pierwszy. Cień. Zgięcie. Porządniejszy. Staję na nogach. Balijski świt. Nie tonę w pożogach. Wypad na Git-git. Tłoczno. Niepotrzebnie. Ale okolica piękna. I tak się zachwykam. Pogoda ponętna. I staje się. Daję. Niczego nie udaję. Szybko wracam w „stare” okolice. Życie. A nie strzał w potylicę. I świątynia. Wybrałem Pura Siwa z krową. Piękną. Co nie rusza głową. A może jej duch. Zaklęty w modlitwach. Tu zawsze jest wschód. A nie za pieniądzem gonitwa. Robią na mnie wrażenie miejscowi ludzie. Ich oddanie. Panu. I wspieranie stanu. Ich odrębność od zatłoczonego świata. Hamburgerów i z góry traktowania brata. Pięknie tak patrzeć. Pięknie być ich częścią. Wrażenia nie mogą zatrzeć. Ci który z konia chcą

zsiąść. Ci którym nie po drodze jest z rodzimą tradycją. Zdarzają się. Nie otaczam się fikcją. Ale większość mnie rozczula. Ludzi, którzy pracują w bólach. Pomimo tego, że ubodzy. Nie są smutni, ani srodzy. I dobrze, i pięknie. I oby tak dalej. A nie jak zachód, krzyczy, nalej mi, nalej. I tak to się powoli toczy. Życie tutaj, pomimo roztoczy. I tak to daje przykład. Odkładanie. A nie wykład. W świątyni spotkałem opiekuna. Pobożnego. W dużych tłumach. Ale znalazł dla mnie chwilę. Czas i zrobiło mi się milej. Z uśmiechem przywitanie i takie oto opowiadanie. Szanuj rodzinę. To Twoja ostoja. A nie oddalenie. I smutna niedola. Szanuj nad życie. Traktuj należycie. Jesteś Ty. I oni. W jednym zachwycie. Daruj im potknięcia. I drobne problemy. Duże nie istnieją. O tym dobrze wiemy. Duże może być co najwyżej szczęście. A nie problem. O tym wiesz nareszcie. Bo problemy przychodzą i odchodzą. A szczęście zostaje. Napychasz je jak balon. I w gardle nie staje. W rodzinie jest siła. W rodzinie nadzieja. W rodzinie się rodzisz. A nie że knieja. I stwarzasz okoliczności. Do wspólnego życia. W pełnym znaczeniu, a nie skarbu ukrycia. Zapomnienia. Odnowienia. Patrz, pogoda tu się zmienia. Gdy zmienia się Twoje zachowanie. Oni to czują. I masz gotowe nagranie. Do odtwarzania. Z dobrym pojednania. Do przeżywania, a nie się chowania. Rodzina to skarb. Trzeba go szanować. A nie pod łóżko codziennie chować. I masz, kolejne okoliczności. I znasz. Marzenia i podejście do ilości. W miarę chwili. W miarę stanu. Ten tu kwili. Tamtemu oddano. I przekomarzano. Zrozumiałem po części. Na ile grano. Tyle w wazie wody się zmieści. Oddawanie okoliczności. Zdawanie ilości. I chcesz. Nie tylko Twoje są kości. Bo krew i ciało, od rodziny pochodzi. Nie duch, ale to nie szkodzi. Więc próbuj. Staraj się. I zmieniaj na lepsze. Chciej. A nie mówisz na to wszystko, pieprzę. Pięknie mówił opiekun świątyni. Pobłogosławił. Ja jeden, z innymi. Wszyscy jeden. Wszyscy wiedzą co się dzieje. A nie że na lepsze mają nadzieję. Wieczorem byłem w teatrze wayang kulis. Lalkarz nie potrzebował kuli. Cienie, światło, rozproszenie. Rytualne oczyszczenie. I przemiana. Nie tylko dalanga. Ale mnie. I inny widzów. Granda. Jak to wszystko wymierzone. W człowieka i dla człowieka stworzone. Świątość unosi się w powietrzu. Prosi. Nie za pośrednictwem mieczu. Miecza - żal dalang mówi. Do walki ze złem stań. A miłość przemówi. Historia już znana. Została dokonana. Teatr zwycięża. W sercu dobrego męża. W sercu tej która musi. Bo inaczej nie umie. Dobro jej nie dusi. Bo nie chowa mądrości w rozumie.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Z rodziną w miłości

I smutki giną

Z rodziną w bliskości

Z uśmiechniętą miną

Stało się co się stało

Rodzinę na próbę poddało

Ale wytrzymała

Bo rodzina to skała

PURA TERATAI BANG (18)

Zawsze pytam miejscowego. O której w świątyni zbierają się ludzie. Żeby móc być częścią święta. Uczestniczyć w ich życiowym trudzie. A raczej w podziękowaniu. Za trudności wszystkie. I w zrozumieniu. Że lepsze bywa często niższe. I rozumiałem. I siebie chciałem. Do ponowienia. Nowego otworzenia. I kolejny dzień. Wspaniała nowina. Jeśli nie, to się zmień. A uśmiechnięta będzie Twoja mina. I idź dalej. Do celu. Idzie tam ludzi wielu. I żyj. W otwarciu. A nie w samotnym wsparciu. Bo to nie jest wsparcie prawdziwe. Tylko oczy, coraz bardziej chciwe. Notorycznie otwierane. Takie. Także poznane. Tylko ciągle zaczynane. Takie. Jak nagroda przyznane. I co się patrzysz. Pytam sam siebie. Śmieje się. A nie że człowiek na glebie. Cieszyć się trzeba i powtarzać. A nie możliwości, mogą się zdarzać. Odnowienie przychodzi często z zaskoczenia. Nie wiesz kiedy. I sprawa nie do odwrócenia. I nie wiesz jak. Zmienia się ten świat. Odreagowanie. I lepszym się stawanie. Zaprosiła mnie dziś do domu pewna starsza Pani. Wiedziała że lubię sztukę. Bo idę do ludzi z tymi słowami. Sztuka zbliża. I mówi bez słów. Ludzi przybliża i nie ścina głów. Pokazuje czułość i pragnienie piękna. Zdaje się, że to do życia zachęta. Sprawia i się zdaje, że na dobre zostaje. I człowieka za drobne nikomu nie oddaje. Kobieta pokazała mi starą technikę. Przekazywaną z pokolenia na pokolenie, malowaną polemikę. Farb ręczne robienie, dokładne nałożenie. Wypełnianie linii i jesteśmy inni. Mówi. Różnimy się szczegółami. Różne rejony. Różne style. To tak, między nami. Łączy nasz Mahabharata, tradycyjne religijne podejście. Koszula nie rozdarta. I masz na drugą stronę człowieka przejście. Zjedliśmy wspólny obiad. I pojechaliśmy kawał do świątyni. Rodzinnej, ze strony męża. Już nie jesteśmy inni. Zrozumieli, że szukam w życiu tego co i oni. Boga i ten Bóg nas zawsze ochroni. W świątyni małpki grasują ponętnie. Ale czy na pewno, w każdym razie chętnie. Kradną co się da. I figle wywijają. Czasami ktoś coś im da. To zwierzęta mają. Wyjątkowo nie kradzione. Wyjątkowo zastużone. I pytanie. Czy my to nie one. Ile się zdarza. A ile wydarza i w świątyni święto. Widzę efekt na twarzach. Skupienie, kiedy trzeba. Rozbawienie, też potrzeba. Ale każdy moment ma swoją otoczkę. Komentarz. Boczenie. Pemangku, kolejny, nie zwiódł. I rozmawiamy. Choć myślałem, że mnie zwiódł. Że na próbę wystawił. Może się tylko bawił. A po wszystkim powiedział. Że o radości mojej wiedział. Od kiedy mnie zobaczył. Duszę widać. U niektórych. Jak wiele znaczył. Bo dusza jest najważniejsza w człowieku. Nie słowa. Rozum. Inaczej nie czuł. Czuje się duszą właśnie. Duchem człowieka. O ile się od niego szybko nie ucieka. Wolno też nie wypada. Ale to inna kanonada. I zwątpienie. I nawarstwienie. I stworzenie uwypuklenie. W duszy nadzieja. I w duszy marzenie. Koligacja. I odnowienie. Jak bardzo na duszy można polegać. Jak wiele można dla niej sprzedać. Wszystko się stara. Wszystko otacza. A nie rachunek. I zmęczenie biegacza. Nigdzie nie uciekaj, mówi pemangku. Dusza jest tu. A nie w wiatraku. Gdzieś na drugim końcu świata. Holandia. Czy inna jakaś draka. Dbaj o nią i podlewaj. A czasami do niej śpiewaj. Troszczyć się o duszę, rzecz najważniejsza. I w efekcie najwypuklejsza. Duchowa strawa. Świątynna zabawa. Ofiary, i prośby. Podziękowania, albo groźby. To zależy od człowieka. O to co i na kogo czeka. To zależy od zaangażowania. I notorycznego zaczynania. Na koniec mówił coś o prawdzie, ale wiem schowaną mam ją gdzie. I się staje i powstaje. Wspaniały dzień. Na nogi stoję. Trzeba spać.

Nabrać sił. Z otwartymi oczami. Żebym żył. Trzeba pamiętać. Poznanych ludzi. Bo gdy zapominamy, życie nam się znudzi.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Dusza ciałem porusza
Chyba że w ciele susza

Dusza jest dawcą nadziei
Chyba, że się klei

Ty sam ją pielęgnujesz
Ty sam przez nią czujesz

Chciej, by była piękna
A nad samym sobą się zlitujesz

PURA SAMUAN TIGA (19)

Nie zawsze jest idealnie. Bywa także kolegalnie. Nie zawsze chce mi się śmiać. Ale nie mam zamiaru stać. Nie mam zamiaru udawać. I zawodu sobie sprawiać. Kolejne kroki stawiać. Byle siebie odnawiać. I kolejny już dzień. Przynosi słońce i cień. I kolejne nocne drwiny. I zastanawianie się nad końcem drabiny. Co i po co. Dlaczego ludzie się tak kłopotczą. Co z tego mają dobrego. Ważne, że Bali robi sobie żarty z tego. Pomimo szmeru, pomimo gwaru. Spotkałem niedobitków paru. Którzy przekonać mnie chcieli do używek. Mam dosyć takich zagrywek. Mam dosyć udawania. Że życie jest tylko dla drania. I codziennie się nastawiania. I masz coś co życie zastania. Nie, dziękuję. Nie skorzystam. Wątpliwa to korzyść i marna przystań. Nie dziękuję. Mam inne plany. Idę do świątyni. Już jestem ubrany. I idę do Samuan Tiga. Obok klatki z ptaszkami. Śpiewają, nawet w klatce. Ludzie są tacy sami. Śpiewają pieśń o rozstaniu. A ludzie idą z darami. I się stajemy. Jedną całością. I nie przeszkadzamy fotografującym gościom. Robimy swoje. Czyli się modlimy. Milczymy. Wiemy że dobrze czynimy. Nikt nie traktuje mnie inaczej. Inny kolor skóry nie przeszkadza raczej. Po człowieku widać jakie ma zamiary. I do jakiej tak naprawdę pasuje pary. Spotkałem pemangku. To już moja tradycja. Porozmawiać, dowiedzieć się czegoś. Mądrość to nie fikcja. Ale trzeba na nią zapracować. Trzeba uruchomić ducha. A nie tylko stronić. I taka życia otucha. Opiekun świątyni wyłożył mi pięknie. Że udawanie jest naprawdę wstrętne. Że liczy się szczerłość, przed sobą i przed światem. A nie pusta złość, chyba że jesteś wariatem. Szczerym być to bardzo ważna sprawa. Bo świat staje się jaśniejszy, to nie jest zabawa. Bo świat staje się piękniejszy, pomóż w tym sobie. A poznasz i zakosztujesz w słodziutkiej swobodzie. Nie można być wolnym, jeśli siebie oszukujesz. Nie można kierować, jeśli wiecznie gdzieś pudłujesz. Nie tu, nie tam. Jaka strata z tego. Obyś się obudził i zrozumiał kolego. Oby oczywistym się stała dla Ciebie prawda ta. Że tylko jedną prawdę człowiek tak naprawdę zna. I to prawda o Bogu. A Bóg Cię nie

zawiedzie. O ile go nie oszukasz. Gdy śmierć Cię odwiezie. Sąsiedzie. Sąsiadko. Bracie. Wariatko. Wszyscy razem uczymy się sprawnego życia. Odpowiedzialności i woli przeżycia. Wszyscy razem udowadniamy sobie ideały. Znaczenia, przekazy, oby nie podobni do skały. Co woda w nią nie wsiąka. Obyśmy tylko czasem się potknęli i poznali co to rozłąka. Bo bez tęsknoty niczym się stajemy. Bo bez tęsknoty, nie wiemy co jemy. Jak wyduszka świszczy. Jak liczydło liczy. Granie i na nowo się poznawanie. W szczerości. W prawdomówności. W szczęściu, a nie pożądlivosti. Jesteśmy tutaj razem. Z jednej wciąż przyczyny. Nie musimy psikać gazem. Żeby poznać skład rodziny. Jednej. Wielkiej. Zjednoczonej. Przyjedź tutaj, dołącz do niej. I kolejne przemyślenia. Że nie mam dość balijskiego jedzenia. Mógłbym jeść te dania bez zatrzymania. Lokalne. Tanie. Albo częstowane. Przez miłych przyjaciół. Których tutaj poznałem. Miałem wielkie szczęście. I radość im dałem. Bo wypytywałem. Czasami z nimi jedzenie przygotowywałem. Albo przy ścinaniu bambusa pomagałem. Dziś inaczej. Wieczór raczej. I jestem na pokazie tańca. Kecak. Nie muszę odmawiać różańca. Tancerki odmawiają go za mnie. Pięknie, foremnie i sprawnie. I dźwięki gamelanu. Bębny. Nigdy nie będę miał dość tego stanu. Piękne przedstawienie tutaj urządzili. I całego mnie, w sobie zmieścili. Piękne gatunki i sztuką poczęstunki. Kecak jest wart, aby zrewidować swoje rachunki.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Szczery człowiek
Nie narzeka

Bo szczerze
Od złego samopoczucia ucieka

Szczery człowiek
Jest za dwóch

Bo czystą myślą
Przegoni stado much

PURA DALEM AGUNG PADANGTEGAL (20)

Wspaniale jest napić się rano kawy. Większość nie zdaje sobie z tego sprawy. Że najlepiej smakuje na plantacji. Pięknym dodatkiem do tropikalnych wakacji. I do takiej plantacji pojechałem. Kawowce i proces produkcji podziwiałem. I ta kawa. Filiżanka po filiżance. Oby nie przesadzić. Jednak. I nie utonąć w szklance. Pysznie dzień zaczęty. A później kontynuowany. Sam siebie pytałem jakie dalsze plany. I ktoś powiedział mi, że wie gdzie mieszka kobieta. Która starym sposobem barwi tkaniny. A nie nowoczesna podnieta. I udało mi się do niej dojechać. Przyjęła mnie. Nie chciała czekać. Opowiedziała o swojej pracy. Jak tworzy Batik. I jak wiele to dla niej znaczy. Od pokoleń tak samo z miłością do kolorów. I fantastycznych, surrealistycznych wzorów. Które oko pobudzają. Które w oku na długo zostają.

Pozostawiają ślad. Nie widzę w tym żadnych wad. To nie moda, tylko tradycyjna trudna przygoda. Codzienne powtarzanie. W barwnikach się babranie. Ale te efekty. Kupiłem, bez cenowej korekty. Coś drobnego. Niedużego. Będzie mi ją przypominał. I efekt tego. Spotkania, które pracę ciężką chwali. Nie narzekanie, że się wszystko wali. Że trzeba pracować od rana do wieczora. Tutaj to normalne. Za drobne. Taka świata pora. Takie koleje życia. W biedniejszych rejonach, bez tycia. Chyba że duszy. To co innego. Historia tej kobiety nie jednego poruszy. Bo sama dom utrzymywała. Mąż umarł, sama została. Ale jest szczęśliwa, bo dzieci, bo ona żywa. Bo może pracować. A nie przed życiem się chować. Bo może Canang sari codziennie sama robić. Z liści, kwiatów. Kadzidełko włożyć. Podziękować za wszystkie łaski jakie otrzymuje. I zrozumiałe dla mnie staje się, jak prawdziwe życie ucztuje. Życia bezmiar odwiedziny. Życia czar, narodziny. Wszystko naraz się zasklepia. Jeden moment, nie przylepa. Wszystko równo, pokazuje. Komu ile, nie próżnuje. I ta wiara, że życie ma sens. A nie ugryźć i wypluć czasu kęs. Gardzić tym co ofiarowane. Nasze talenty są niewykorzystane. Często. O nich zapominamy. Bo wybieramy wygodę. Między fotelami. Biura i zabiegane życie. Zamiast coś tworzyć. I żyć w zachwycie. Ja wybieram tutejsze podejście. I na drugą stronę przejście. Duchowa odnowa. Duchowe przeskakiwanie. Problemów, które nazywam, zadanie. I już następne. I już kolejne. Zależności. Czasem chwiejne. I się zbierają. I następują. Zbliżają się. Nie pudłują. Nie mogło też zabraknąć świątyni. Na obrzeżach Ubud. Ja między innymi. Podoba mi się tu. Ma wyjątkowy klimat. Dalem Agung Padangtegal, gdzie drzew się nie ścina. Tak jak dusz. Jest jedna rodzina. I mam za co dziękować. I nie muszę się chować. Zadowoleni ludzie. I każdy musi tego spróbować. Nawet jeśli żyje w trudzie. Natarczywość. Przywiązanie. Zapobiegliwość. Rozwiązanie. I spotkany tam pemangku. I jego odwiedziny na moim szlaku. I kroczymy razem w rozmowie. Pytanie tylko co mi dziś powie. I mówi. O trudzie przebudzenia. O tym, że wielu ludzi Boga nie docenia. Przebudzenie. Nowe narodzenie. Jakże to ważne. Nie wystarczy chcenie. Trzeba wymodlić. Trzeba wypracować. Pracując nad sobą. A nie później żałować. Na łożu śmierci. Że się życie przegrało. Tyle się mogło. A tak mało się dostało. Nie bądź jednym z tych. Co nie wiedzą jak żyć. Mówi pemangku. Pozwól duszy tyć. Pozwól, aby unosiła się i płynęła. I twoje uczynki. Żeby dobre wzięła. Ze sobą w podróż. Aby znów zachciała. I to co piękne, już Ci pokazała. Wspaniałe słowa. Zapadną mi w pamięć. A nie życia połowa. Ani powód to do zdjęć. Liczy się na życie chęć. Liczy się oczekiwanie. Notoryczne w pięknie człowieka powstawanie. Przebudzenie ducha. Przebudzenie ciała. Praca nad sobą. I to jest wieczna chwala. A nie puste gadanie. I marne nauczanie. Nie o to w tym chodzi. Masz prawdziwe zaczynanie. Tu, teraz. Samo nie przyjdzie. Tak, nieraz. Nie znajdziesz go w windzie. Tylko w świątyni. Tylko w powtarzaniu. Nie ma duchowości, bez religijności. Takim poczynaniu. Zawsze i wciąż. Kłopot. Wąż. Ale wszystko jest do pokonania. Przemilczenia. W podejrzone znajomości się nie angażowania. Dobro zwycięża. W każdej jednej tradycji. Dobro to my. Ci, którzy nie szukają fikcji.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Przebudzenie jest niezbędne

Bez niego robotem będę

Nie rozumiem swojej woli

Potykać się mi nie pozwoli

Świętość ducha
I ten umysł

Przebudzenie
Szósty zmysł

PURA TAMAN SARI (PURA UMUM) (21)

Przeniostem się na północ wyspy. I wiem że pozostanę czysty. Wierzę, trawię i przedstawię. W naturalności, niespodziankę sprawię. Sobie i Tobie. Sobie, każdemu. Poznawać. I mieć powód ku temu. Ja mam i się nie poddaję. Twardo na własnych nogach stoję. Rozprawiony z cieniem. Rozprawiony z przygnębieniem. Zataczam się. Swoim zbawieniem. I brnę i idę. Kolejne doświadczenia. Wiem, że nie zobaczę na Bali jelenia. Ale zobaczyłem delfiny. Wstałem rano, nie zwracając uwagi na miny. Jeszcze zanim wzeszło słońce. Na łódź. I powitanie gorące. W poszukiwaniu delfinów. I dwa znalezione. Wyskakują, cieszą się. Nadzieje zostały spełnione. Żeby zobaczyć szczęście, tutaj na wolności. A nie przeszkody i pożądlivości. Nawet delfiny tu pokazują. I od świtu nie próżnują. Nawet delfiny dają się zjeść. Symbolicznie, mieć problemy gdzieś. Cieszyć się strawą. Poranną zabawą. I okolicznościami. A nie jakimiś zaszłościami. Rozgrzebywać i się zgrywać. Niepotrzebne to i szkodliwe. Lepiej z delfinem przebywać. Lepiej rzeczy po imieniu nazywać. A później świątynia. Taman Sari. Piękna. Co odnowę rozpoczyna. Kolejną. Jak kolejny dzień. Nie chwieją. A jeśli już, to się zmień. Dary, błogosławieństwa, uśmiechy. Rozmowy, to nie grzechy. Wypytywanie, dopytywanie. Ta po prostu. Zaczynanie. Samego siebie znanie. I innych nie unikanie. Pojawił się też pemangku. I dodał rozmowie smaku. Powiedział co myśli. Wie, że to co mówi się ziści. A mówił o tym żeby nie zabijać. Niczego co żyje. Nie tylko z pomocą kija, ale i wspierania okrutnych praktyk. Nie jest to życia szyk. Życie jest po to by trwało. A nie, żeby siebie samego zabierało. Życie jest po to by się cieszyć. A nie to życie peszyć. I rujnować. I dołować. I nie tylko mowa o zwierzętach. Choć gałąź to przemysłu przeklęta. Ale o samym sobie. Najczęściej bowiem widzimy samych siebie w grobie. Sami do niego wchodzimy. Sami kopiemy i w powietrze się wysadzimy. Sami siebie zabijamy. I w dodatku radość z tego mamy. A radość to wątpliwa. Zabija duszy. Sprawa to lękliwa. Bo raniona dusza, strachem nas ogłusza. I wieczna walka. W człowieku nas czeka. I zwycięstwo, lub porażka. A nie jeden narzeka. I zbieranie, zaczynanie. Nowoczesne przeglądanie. W sobie. W Tobie. I w tym Twoim wąskim grobie. Wszystko tu jest. I od Ciebie zależy. Kto i kiedy do Ciebie mierzy. Wszystko jest życiem. Tym wytrwałym. Wszystko jest stanem doskonałym. Jak żyć by nie szkodzić nikomu. Nie zabijać. Trzymać się blisko domu. Bo zabierać dom ze sobą trzeba. Doceniać, życie to Twój kolega. A nie zmieniać i przeinaczać. A nie w złości siebie zatracać. Wszystko jest po coś i my pośrodku. Wszystko zależne. I kolor płotku. Na wszystko masz wpływ i pokuszenie. Masz. Także i to. Kolejne zdarzenie. Słowa pemangku wywarły na mnie duży wpływ. Zastanowienie. Odnowienia zryw. Będę musiał zrewidować i uporządkować. Będę musiał nad sobą pracować, a nie przed samym sobą się chować. I już to robię. Ale bardziej. Siebie samego zdobiję. Trzeba twardziej. I mieć i stwarzać

powody radości. I znać się, powtarzać. Marzenia, nie złości. I kolosy jak Kawi, przed moimi oczami. I zdolności, się trawi, pozostają z nami. Marzeniami. Odnowieniami. Budulcami. I znakami. Wszystko jest tutaj. Wszystko jest jedno. Przerobienie. Nie wszystko jedno. I wiem już, że dobrze trafiłem. Bali jest czymś o czym śniłem. Miejscem, które daje do myślenia. Uwalnia duszę. Pora odnowienia. Uwalnia ciało, pora o nie dbać. A nie tylko w kącie życia stać. To znak dla Ciebie. Jesteśmy podobni. Tylko na różnych etapach, nie zawsze zgodni. Ale dorastamy. Byle do owocowania. I aby życie, nie było męką siłowania. Byle bardziej, byle mocniej. I same przegrane. Bezowocne. Nie można dać się zagonić w róg. Bo to co nam daje siłę, to sam Bóg.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Szacunek

Do wszystkiego co żyje

Poczęstunek

Który nie był traktowany kijem

I otwarcie nowego rozdziału

I znaczenie nowego działu

Nie skracaj życia

Zło, bez mojego udziału

WESELE (22)

Weselić się można z wielu rzeczy. Zapyta kogo chcesz. Nikt nie zaprzeczy. Ja dziś weseliłem się z okazji ślubu. Tradycyjnego. Balijskiego. Łubu dubu. Bo pięknie widzieć jak się ludzie kochają. I młodzi. Na całe życie złączają. Wypowiadają przysięgę. Przed Bogami, podziemiem i nami. W złotych koronach. Odświętnie ubrani. I czerwony sznurek zawiązywany na palcu u stopy. Znak wierności. Chęci wspólnego życia i ochoty. Od tego momentu panna młoda, której nikomu nie jest szkoda. Staje się częścią rodziny męża. Nie potrzebuje większego oręza. Jest przeszczęśliwa. Radość to dotkliwa. Osiada na sercu i pozostaje żywa. Mąż staje się odpowiedzialny. Za utrzymanie rodziny. Trochę jak u nas. Choć to nie są przestarzałe kpiny. I ofiary. Składane Bogom. Na oczyszczenie. Mocno tu pomogą. Aby się wiodło. I powodziło. Aby szybko dziecko im się urodziło. Później poczęstunek. Dźwięki gamelanu. Chłopaki się starają. Aby nie wypaść z tanu. Ten tego. Ten owego. Jemy, rozmawiamy. Nie ma w tym niczego złego. Prezent przyjęty. Prezent otrzymany. Świt był tym przejęty. Jak daleko doleczą tany. Radości i wspólnego biesiadowania. Pożądliwości, albo się od niej odsuwania. Chwile na zawsze. Chwile na trochę. A ja kocham tę balijską wiochę. I tych wspaniałych ludzi, którzy mnie zaprosili. Z wysokiej kasty, chyba mnie przecenili. Ale jestem tu z nimi i wspólnie się cieszymy. Gamelan umiła. Na nic nie liczymy. Tylko czerpiemy z chwili. Dla chwil. Na chwilę. Razem z uśmiechami.

Będzie nam jeszcze milej. Wesele ciągnęło się i trwało. A mi ciągle było mało. A mi ciągle brak tych słów. I sam do siebie mówię, łów. I złowiłem. Pewną rozmowę. Monolog starszego słowem. Powiedział mi o bezradności. Że czasami dotyka, nawet wysoko postawionych gości. Że chcesz i nie wiesz co i jak. Zdecydować jaki znak. Bezradność mocno Cie dotyka. I się skleja. Nie zanika. Przywiera do człowieka. Dla tego przykładu. Był człowiek pewien, który nie miał sadu. Bo zniszczyła go potężna ulewa. Połamała drzewa. Wichura, tak się miewa. I co tu zrobić. Rozłożone ręce. Bezradność zawsze chce coraz więcej. Ale sad można na nowo obsadzić. I dbać. Pielęgnować. A nie się z sobą wadzić. I tak też jest z kobietami. I późniejszymi małżeństwami. Czasami przyjdzie wichura. Albo jakaś inna bzdura. I nie wiemy co robić. Najlepiej nie szkodzić. Ale gdy już za późno. Na nowo związek musi się urodzić. Odciąć od złej przeszłości. Iść razem, ku wolności. Odciąć się od bezradności. Cieszyć się, nie patrząc na złości. A nie rozgrzebywać i płakać nad tym czego już nie ma. Tak to jest w małżeństwie. Reszta to poemat. I wiele dało mi to do zrozumienia. Odkrywania, docenienia. I te chwile, tak intratne. I zjawiska, zawsze zdatne. Notoryczne otwieranie. I do dobrego się przyzwyczajanie. Na złe, nie zważanie. Jedno słowo. Drogi Panie. Co ma być, to trzeba zrobić. A nie czekać. I dać się przerobić. Upaść. W beznadzieję. Ty nic nie robisz, a zły się śmieje. Ty w nic nie wierzysz, a zły ma używanie. I kolejne z samym sobą rozstanie. Co komu, odpoczywanie. Jak i dlaczego. Zaczynanie. I weselni goście, nie proście. Spotkacie się na tym samym moście. Jeśli taka jest Wasza wola. Jeśli obca jest wam mentalna niedola. I skłanianie, docenianie. I powolne odkrywanie. Chwile proste i gadanie. Chwile składne, powtarzanie. I tak wielkie zrobiło wrażenie. Masz to przecież, pocieszenie. I gra którą dalej słyszę. Już w swoim łóżku. Lubię ciszę. Ale gamelan nie przestaje. Trzyma mnie. I się nie rozstaje. Taki balijski zwyczaj jest. Jeśli się cieszyć, to tylko fest. I ten zapach kadzideł. Dobra, wystarczy, spać już idę.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Bezradność jest do pokonania
O ile wystarczająco docenisz drania

Ocenisz środki i przekątne
Trudne sprawy, wielokątne

Jedno jest wyjście
Jeden jest sposób

Wygrać myśląc o drugim
I żyć dla szczęścia bliskich osób

POGRZEB – NGABEN (23)

Pojechałem spory kawałek do jednego z miast. Bo miałem już dość słodkich ciast. Których nie ma na weselach. Ale to weselników nie onieśmiela. Dowiedziałem się, że jest organizowany

pogrzeb. Wielka tutejsza atrakcja. Przygotowywany przez społeczność (banjar). Jest to życia ostateczność. Ostateczne rozwiązania. I szczęśliwe pożegnania. Na Bali smutek rodzinie zmarłego oczu nie zasłania. Wszyscy się cieszą. Całe miasto, nie grzeszą. Taka tradycja. Powstaje festiwal. Wielkie święto. Nie jeden, czy dwa. Ale dziesiątki straganów. I różnych atrakcji. Wszystko w przyjemnym nastroju. Pogrzebowej agitacji. I pochód. Procesja. Z sarkofagiem zmarłego. Czarny jeleń. Nie ma nic tu przypadkowego. Czarny bo żonaty. A jeleń bo rogaty. Nie najwyższy rangą. Ale ważny. Pan to. Był. A teraz świętowanie. Sarkofagiem potrząsanie. Aby złe duchy się nie przykleiły. Aby krzywdy duszy nie zrobiły. Aby mogła ulecieć do nieba. Tak. Do Królestwa. Tego jej trzeba. I wieża bade z siedmiu poziomów. Złocona, tonie w gamelanu tonów. Przygotowana na spalenie ciała. Tu sarkofag. Tu zechciała. Wieża pokazać, że zmarły był kimś. Dla wspólnoty, razem iść. Przez życie. Aby uwolnić ducha. Kremacja. Ja już temu ufam. Zmarły spalony z od ludzi prezentami. Oraz tradycyjnie, ze wszystkimi swoimi rzeczami. A później fiesta. Całymi godzinami. Tak się świętuje. Pomiędzy świętami. Tańce w ogniu, teatr, kabarety. Nie że koniec życia niestety. Ale początek, nowego istnienia. Zakończenie wędrówki, albo możliwość kolejnego odrodzenia. Ja wierzę w niebo. Oni inaczej. Da się to odczuć po trochu raczej. Ale zasada jest wciąż ta sama. Dobry ma dobrze. A zły, to kawał drania. Odkupić musi swoje przewiny. I to bez znaczenia z jakiej jest gminy. I tak się kręci. Świat ten szalony. Na Bali, dla Bali, tak uwielbiony. Dałem się wciągnąć w ciekawą rozmowę. Tą o teatrze. Szczegółów nie powiem. Ale chodziło że teatr to życie. I każdy ma rolę. I jej przeżycie. Stykają się ze sobą różne przedstawienia. Jedne wychodzą, drugie chowają się do cienia. I te atrakcje. Radosne nowiny. I te identyfikacje. Nie powiem, że kpiny. Stykają się i ponaglają. W duszę człowieka wciąż zaglądają. Wierzą że jako potomek się odrodzą. Ważne, czy dobry, drugiemu nie szkodzą. I te maszyny, powody rodziny. Śmiech, wrzask. Skok. Figurki z gliny. Wszystko pulsuje. Nawet gołębie. Których tu nie ma. Ale lot znają wszędzie. Kto inny rolę gołębia przejmuje. Kto inny człowieka nie dołuje. I znaczenie kompromisów. Tradycji długopisów. Tak to na zawsze. Zostawione własne. Historie i przyczyny. Odrodzenia i wędliny. Komu amunicji. I kosze prawie jak z wikliny. Dzieje się. I człowieka zmienia. Takie świętowanie. Lepszego wręcz nie ma. Kto do kogo należy. Kto z kim się zmierzy. I święta rodzina. Naleciałości. Gmina. Ktoś się podpiera. Inny szatę rozdziera. I to pokrzykiwanie. Mam metodę na nie. Jestem sobą. I takim pozostanę. Boga ozdobą. A nie wielkim panem. Jestem tu i nigdzie się nie wybieram. A dusza. Duszę to akurat wspieram. I się zaczyna. I znów dochodzi. Kolejna atrakcja, mówię, nie szkodzi. Kolejna narracja. To pocieszenie. Masz i miateś. Swoje spełnienie. I się stworzyło. I dla dobrego było. I oddawało. W lepsze się zmieniało. Przeistoczenie. To naznaczenie. W ramach jedności. Uwypuklenie. Dzień ten dał mi wiele. A ja jemu. Zakochani. Nie przeszkadzać potwierdzonemu. I kolejne partie gór. I kolejne śnieżne ostępy. Rozstąpiły się i zobaczyłem odmęty. Nie dla mnie. Wolę żyć swobodnie. Radośnie i jak najbardziej godnie. Zostałem tu z sobą. Zostałem z nagrodą. Już nie powiedzą, że zadowolam się trzodą.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Życie to teatr

I nic na to nie poradzisz

Wybierz swą rolę

Drugiemu nie zawadzisz

Jedna wybrana

I pozostana

W tłoku i zgiełku

Dobrze zagrana

DZIEŃ PRZED NYEPI (24)

Dzień przed nowym rokiem. Oznacza spotkać się z tłokiem. Balijszczy podeksytowani. Będzie ofiara. Będą z tego znani. I na tradycję, jak zawsze otwierani. Uśmiechnięci od rana. Zabiegani, oddana. Bo o ofiarę tutaj chodzi. Składaną Olbrzymowi, jaka, nie szkodzi. Cokolwiek. Wszystko. Czego tylko chce. Aby był zadowolony. Tak to się tu zwie, poza owocami i kwiatami, muzyka. Tańce. Retoryka. I to co robi największe wrażenie. Parada z figurami demonów Ogoh-ogoh. Aby je zmęczyć. Duchów plany pokręcić. Aby poszły spać. I nie mogły od ludzi brać. Zmieniać ludzi i sprowadzać na manowce. Trochę tak jak nasze owce. Znowu gamelan. Znowu podskakiwanie. I z jednym dobrym się witanie. Byle duchy się odczepiły. Byle w spokoju nas zostawiły. Atrakcja na kilka godzin. Niezależnie od ludzi min. A miny są dziś wyjątkowe. Bo to święto, ciągle nowe. Czeka się na nie cały rok. Dzień przed. No i szok. Demony posłuchały. Odleciały. Z tego wniosek, człowiek nie jest mały. Na pardzie spotkałem znajomego. Uzdrowiciela lokalnego. Syna Ketuta Liyera. Zna mnie. I się ze mną nie spiera. Porozmawialiśmy o pragnieniach. O tych ciągłych niedokończenia. Że warto żyć z pustymi rękami. Mieć tylko siebie. I z tego Balijszczy są znani. Że niewiele od życia potrzebują. Rodzina, społeczność, to konsumują. A nie zbytki i blichtr w to otoczony. Znaczenie. Musisz zostać dokończony. Pragnienie, i ciągle z nim walczenie. My na zachodzie, spoufalenie. Wiemy, co chcemy i do tego dążymy. Balijskiego świata nie okrążymy. Dziwne to dla nas. Nie pragnąć uciech. Nie rozumiemy. Lepiej stąd uciec. Znajomy powiedział mi ważne słowa. Dusza na spokój jest zawsze gotowa. Tylko my jej spokoju dać nie chcemy. Wolimy nowości. I tego chcemy. Byle się działo. Byle było głośno. Niekoniecznie radośnie, ważne, czy sprośnie. I tak zachód naucza. A wschód do innego. Bali. Jak dużo mam z tego. Przejęcia punktu widzenia lokalnego. Pragnienia precz. Wiedzieć. Spoufalonego. I się zdarza i się powtarza. Historia pewnego starego marynarza. Który gubił się w nazwach portów. I nie pamiętał wypowiedzianych słów. Stał się pozą. Zestawem podnieceń. A dusza uschła i został cień. Wiele się zmienia, ale człowiek rzadko. Myślimy że wiemy, że wszystko pójdzie gładko. Ale zapominamy że duszę mamy. I to z nią się z życia rozliczamy. Zapominamy o tym co ważne, i kolejne kroki nierozważne. Było to było. Znowu się powtórzy. A my pokrętnie. Niebo się chmurzy. Takie znaczenie. Na pokuszenie. Takie staranie. I odgradzanie. Komu w jakim celu. To oddawanie. I tylko Ogoh-ogoh, odpasowanie. Który w Tobie siedzi. Który sprawia że skręcasz. Na uciechę gawiedzi. Głowę swą wykręcasz. I poddajesz pod ścięcie. Takie masz zajęcie. Wielkanocne, nowe rozpoczęcie. I się składa. Ręce rozkłada. I się powtarza. Stara parafraza. Można i trzeba, sobą ciągle być. Ale z dala od pragnień. Pozwolić duszy tyć. Z dala od wniosków. Na zabawę gotowych. W odwrocie od kiosków. I naszymi z złota nowych.

Wszystko powoli. Wszystko po święcie. Dziś parada. W tej pięknej zachęcie. Nocna zabawa. Nocne strojenie. I rozmowy. Niedokończenie. Trzeba się znać. I prawdy powtarzać. Trzeba się bać. I okoliczności stwarzać. Bać upadku i poniżenia. Przez samego siebie. Nasze pragnienia. Bez strachu nie znajdziemy motywacji. Popuścimy sobie. Nie zaznamy życia atrakcji. Czyli spokoju. Ciszy która mówi. Czyli nastroju. Chwila nas bardzo lubi. Polubmy i my ją. Czasami rozwrzeszczaną. Ale nie naśladujmy. Grajmy sztukę, dobrze zagrana. I naleciałości. Z dala pozostaliśmy. I opieszałości. Zło zawsze gańmy. Stało się jak się stało. Samo zostało. Będzie jak będzie. Nie ważne w którym urzędzie. Ważne po co jesteśmy. Po co na świat przychodzimy. I czy mamy odwagę. Czy drugi raz się narodzimy.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Puste ręce pozostają
Nie ważne co ludzie gadają

Pusta głowa też pomaga
Bo niczego się nie domaga

W jednym duchu
W jednym stanie

Poznasz czym jest
Boga pożądanie

NYEPI – NOWY ROK (25)

Nyepi spędziłem w domu Wayana. Aż do następnego rana. Powiedział, że traktuje mnie jak rodzinę. A nie turystę. Twarz cała roześmiana. I ten dzień jest wyjątkowy. Dzień ciszy. Na medytację gotowi. Nie można zapalać ognia. W ten dzień to zbrodnia. Nie można wychodzić z domu, ani się pokazywać nikomu. Poza domownikami. Rodziną. My tu. I cisza między nami. Nie można pracować i do zakazu tego trzeba się stosować. Rozrywek też to nie jest czas. Wie o tym dobrze każdy z nas. Cztery zasady. Surowo przestrzegane. Cztery rosady. Na dobre, tu poznane. Jeden to dzień. Tak wyjątkowy. I medytacja. Temat gotowy. Godzina po godzinie. I odpoczywanie. Znaleźliśmy też czas, na luźne gadanie. Co komu, jak nikomu. Co się lubi, co pomnaża. Jaki sens motywację stwarza. Wayan mówił o swojej paski. Hodowaniu karpi koi. W tym temacie go nic nie boli. Kocha te ryby i ich dogląda. Zawsze z miłością na nie spogląda. Dziś świętują z nami. Dziś nic nie zjedzą. Bo karmienie to praca. Ciekawe co karpie na to powiedzą. Ale jeden dzień w roku można odpuścić. I Boga w swe serce radośnie wpuścić. Pasja to jednak piękna sprawa. Nie chodzi o to, że to zabawa. Ale rozświecła duszę człowieka. Człowiek ma coś, na co ciągle czeka. Po trudach dnia. Pracy wszelakiej. Coś się do nas uśmiecha. Czas pasji wszelakiej. Nawet jeśli jest to śpiewanie. Tańczenie, czy gamelanu granie. Co by to nie było, oby przyjemne. Oby się spełniło i myśli wzajemne. Rodzinna atmosfera mi się udzieliła. Ale za moją polską rodziną tęsknota odżyła. Bo nie ma jak w domu. Choć Bali to

dom. Ale drugi. Tak jak gamelanu ton. Wszystko się miesza i mocno nawarstwia. Jeden drugiego wskrzesza. Technika malarska. Komu ile i w jakim celu. Zbieranie się. By nie hołdować zeru. I traktowanie. Na nowo otwieranie. I siebie zaznaczanie. Dokazywanie. Jak się zbierać. Jak ubierać. Dziś to mało ważne. Nie ma się co spierać. Ale życie nie kończy się na jednym dniu ciszy. Więcej zdjęć można zrobić na jednym zwitku kliszy. Po co, dlaczego. Czy w dalszej kolędzie. Takie piękne chwile można odnaleźć wszędzie. Rodzinne gadanie. I medytowanie. Rodzinne zachcenie. I ponowne, odtworzenie. Można, nie trzeba. Zależy kto jest Twój kolega. I to co porządne. Natchnienie. Nierządne. Systemy i zbity kolejnych zadań. Umysł podbity od złowróżbny kazań. I cisza. Ile w niej znaleźć można. Ucisza, i sprawia że zawsze jest pogodna. Chwila, co znowu nas odwiedziła. Możliwości, i nam je znowu sprawiła. W ciszy wytchnienie. W ciszy odnalezienie. W ciszy spokojne, wieczne naznaczenie. Dla ciszy można wiele poświęcić. I nie trzeba wcale przy tym się męczyć. Przyjąc ją należy. Czy zawsze, nie zależy. Tak, zawsze, uśmiech mierzy. Dla każdego, który bieży. Cisza wypełnia i uspokaja. Daje, bierze, i zawsze spaja. Nie każe nam rzucać świata całego. Byle z dystansem, tak poznanego. W ciszy marzenia, brak, do spełnienia. W ciszy oddechy, i miłości miechy. W ciszy wszystko spokojne, a nie skotłowane. Uwolnić umysł. Słowa dobrze dobrane. I z ciszą spędziłem ten piękny dzień. Radośnie. A nie, weź się żeń. Z kolejnymi głodami, z kolejnymi kłopotami. Nie usłyszysz ich więcej. Nie ma, między nami. Jest ona. Cicha marzycielka. Jest jedno. Dzięki niej pozostaniesz wielka. I Ty. Poczciwy staruszk. Każdy. Wystarczy poklepać się po brzuszku. Wystarczy z czułością podejść do siebie. I nie będziesz zastanawiał się kto kogo grzebie. Wystarczy odpocząć i się dogadywać. Z sobą, a nie kolejne szczyty zdobywać. Powoli. Się składa. Zmiana. Roszada. Wnika w człowieka. I nic nie zakłada. Cisza, która się na paluszkach nie skrada. Jest. A zjednoczyć się z nią. To prawdziwa odwaga.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Pasja do życia
Chwili okazja

Roześmiany co dnia
I w ciszy jazda

Tej w nas
Mocno złączonej

Z nami
I już nie będzie chwili opuszczonej

PURA LEMPUYANG (26)

Przedostatni dzień na Bali. Ale wydatni. Stali jak stali. I się przyglądali. Sąsiedzi. Wayan. Coś tam bredzi. Śmiejemy się. Z niezrozumienia. Bo trzeba zaczynać, od dzień dobry powiedzenia. I się zdarza. I się stwarza. Nowy dzień. Nie muszę prosić o pomoc lekarza. Czuję się świetnie. Wszystko posprzątane. Na nową przygodę. Przygotowane. I jest. I ona. Jak ukochana żona. Przygoda. I jedna przynajmniej strona. Jej, tak wiecznie pokazywana. I na nowo odtwarzana. Dziś Lempuyang. To dopiero wyzwanie. Rano czas na wyjechanie. I wspinanie. Wielka góra. Krok po kroku. Wyszła jakaś chmura. Ale nie pada. Nie przeszkadza. Wspinam się. Oczyszczenie. Taka zasada. Bo w Lempuyang o to właśnie chodzi. To taka pielgrzymka na którą się wychodzi. Przez którą się przechodzi. Człowiekowi to na dobre wychodzi. 1700 schodów. Męka dla człowieka. Ale co na górze. Bóg na nas czeka. Podczas wędrówki czas na zastanowienie. Na wszystko co złe, szybkie odwrócenie. Zapomnienie. Idziemy do przodu. Zbieramy się, w towarzystwie głodu. Choć śniadanie było. Jakoś wyparowało. Kolejna setka schodów. Ale ciągle to mało. I myślę jak bardzo Bali mnie zmieniło. Jak się zechciało. I po co to wszystko było. I zastanawiam się czego chcą ode mnie te małpy. Skaczą wszędzie. Jakby nie miały chałpy. Rozwścieczone. Rozognione. Małe, podskakujące gryzonie. Jedna nawet mnie podrapała. Albo to zwidy. W każdym razie była mała. I dalsza wędrówka. Kolejne schody. I mijam kobiety. Które uśmiechem przełamują lody. Pytam czy daleko. One tylko się śmieją. I porozumiewawczo kiwają z nadzieją. Zastanawiam się jak będzie w Polsce. Czy przeniosę Bali w beztrosce. Czy będę żył tą wysepką do śmierci. Nauczony, jak się ze złem już nie kręci. I dalsze stopnie, schody. Czy nie pochopnie. Może się przeliczyłem. Nogi bolą. A może na tym stopniu już skończyłem. Może zawrócić i wrócić do Ubud. Może, ale szkoda tego mojego trudu. Tyle już przeszedłem. Tyle zrobiłem. Tak bardzo już się namęczyłem. Więc idę dalej. Jak Bóg przykazał. Pielgrzym. Choć nikt mi tego wprost nie nakazał. Wiem, że tak trzeba. Wiem, że jestem bliżej nieba. Odrobinę. Krok za krokiem. Stopień za stopniem. Nie zajmuję się odwłokiem. Kroczę. Idę. Prawie zadowolony. Mija mnie ktoś kto wbiega. Pomysł pomyłony. Nie ma czasu pomyśleć. Nie ma czasu się zatrzymać. Sytuacji przemyśleć. Musi biegu się imać. No ale jego wybór. Każdy sam postępuje. Po swojemu. Buduje, albo się psuje. I po chwili jestem. Piękna brama. Świątynia. Rzecz nie zakazana. Idę złożyć dary. Canang sari i modlitwa. To najważniejsze. Pogoda jest śliczna. Chmury gdzieś wywiało, sam zaś zostałem. I dwóch turystów. Na przestrzeni małej. Jest też pemangku. To z nim rozmawiam. A nie jak inni, pozory sprawiam. I mówi mi o trudzie życia. Że trzeba się starać. Pracować. Różnymi rzeczami się parać. Że nic nie przychodzi łatwo. I po to świątynia. Żeby pomogła. W biedzie jak rodzina. I w dobrobycie. Żeby się nie zmienić. Świątynia. I wędrówka. By człowieka, odmienił. Ten dzień i ta rozmowa. Ten trud co się nie chowa. Ta melodia, ciągle tak odgrywana. Do zadanie, nie dla wielkiego pana. Ale dla sługi. Zwykłego szaraka. Jak ja. No i moja draka. Trudy życia. Nie raz mnie przytłoczyły. Ale jak widać, na lepsze zmieniły. I mówię do pemangku, że kiedyś tu wrócę. Że jeszcze jedna pielgrzymka. Że z sobą się nie kłócę. Że żyję. Próbuję. I Bali mnie zmieniło. Że chcę. W Bogu. Wszystko odmieniło. Pemangku wyczuł, że z czułą osobą gada. I mówi. To Cię co jakiś czas dopada. Niepewność. Ale w modlitwie ucieczka. Że droga prawidłowa. Że ciągle

pali się świeczka. Módl się i dziękuj. Za wszystko co dostajesz. A sam zobaczysz, że lepszym się stajesz. I z uśmiechem witaj każdy trud życia. A doświadczysz radość, z każdego dnia przeżycia. Nawet jak w kość daje. I zostawia szramy. Nawet jak niewiele na tym świecie mamy. Zrozumiałem. I osiadło na mnie słowo. I zostało. Nie było przecież gołomową. I ten widok. Z tego szczytu. Wulkan, powód dobrobytu. Bo to świat. Zagotowany. Wulkan, na nowo odkrywany. Światło. To które na mnie padało. Świt i zachód. Ale się mi śmiać chciało. Ktoś w szpilkach tutaj wchodzi. Sesje zdjęciowe. Wyswobodzi. Ale co. Tego każdy się dowie. Prędeż czy później. I za głupotę odpowie. Nie krytykuję. Śmieję się tylko. I wracam. Do Ubud. Gdzie rodzina. Milkną. Mały. Milkną. Krzykacze. Nawet tu są. Przyjezdni naganiacze. Ja naganiam do jednego. Do oddechu wspaniałego. Aby odbyć pielgrzymkę duszy. Która ciała nie wysuszy. Dusza żyje. Potrzebuje. Schodów. I się wciąż raduje. Jak dostaje. Jak nastaje. Moment, w którym prosto staje. I stanęła. I zajęta. Czuciem, nie jest już przeklęta. Moja dusza, wreszcie żyje. I nigdy jej już nie zabije.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Trudy życia
Dają się we znaki

Bylebyś rozpoznał
Kto to taki

Który zły
A który dobry

I żebyś pozostał
Zawsze łagodny

GOA GAJAH (27)

Ostatni dzień. I pokropiło. Twarz moją odrobinę zrosiło. Dzień pożegnań. Z Wayanem do świątyni. Goa Gajah. Jak do rodziny. I się śmiejemy. I żartujemy. To, że wrócę. Wszyscy wiemy. Melodię nucę. Modlitwa dnia. Wyśpiewana. Jak radosna dusza ma. I chwila medytacji. Też jest potrzebna. Swobodnej kontemplacji. Jest tu powszednia. I pemangku. Kolejny raz. Znamy się. Rozmawiamy póki czas. I mówi mi że wszystko zatacza kręgi. Nigdy się nie kończy. Jak świąteczne wstęgi. I naucza, w swojej dziedzinie. Tylko pytanie jak ma na imię. Nie on. Tylko dziedzin. Te mądrości codzienne. Które wprowadzają klimat. Tylko dlaczego wszystko, tak parno. I tyle słów. Oby nie na darmo. I kolejne otworenia. Pemangku wspomina stare zdarzenia. Które nowymi później się stały. Bo tak bez końca się powtarzały. I łezka w oku mi się zakręciła. Kiedy go zobaczę. Kiedy chwila miła. Bali zostaje w sercu, jak dotyk. Można powiedzieć, że to narkotyk. Wspaniała wyspa, ze swoimi mądrościami. Ludźmi w Bogu, Jego poddani. Bóg w człowieku, zawsze tak samo. A ja w myśli biegu. Jak przykazano. Co do czego

skleić. Na co nakleić. Jak się to zacznie. Wytwór zmieni znacznie. I te historie. Niedopowiedziane. I możliwości Tobie oddane. Orbitujesz. Kręcisz się w koło. Tylko wokół czego. Będzie wesoło. Tylko dla kogo. To przedstawienie. I kolejne, następujące po sobie wyoblenie. Jak się nazywa, ten co przyzywa. Idę, rozmawiam. I jego grzywa. Mówi o ilości. Słów i kontaktów. Smutków i nieodkrytych taktów. I następny ze starszych prosi na słówko. Mówi, że brak im mnie będzie. Ruszam makówką. Ale nie. Nie mogę. Nie zostają. Mam w Polsce życie. Rodzinę. Gałąź. I to o nią muszę dbać. Jak na Bali. A nie tu stać. Bali wiele mnie nauczyło. Ale jest. Było co było. Mnie to zmieniło. Uwypukliło. Dla mnie się żyło. I ze złem zmierzyło. I kolejny ktoś mówi o Barongu. Że zawsze wygrywa. Nie potrzebuje gongu. Nie potrzebuje specjalnego przekonywania. Barong, wie który to kawał drania. I tak to się wszystko mieszało. Kilka rozmów. Ciągłe było mi mało. Ludzie się cieszą. Ludzie świętują. Tylko dlatego, że dobrze się czują. I mają. Wszystko, co pokazują. Czułość. I na niej budują. Światło dnia. Oślepia czasami. Ale trzeba pozostać, pomiędzy promieniami. Trzeba się kręcić. Tak wokół Boga, bez znaczenia jaka jest pogoda. Masz wszystko, czego potrzebujesz. Dajesz, bierzesz, dobru wtórujesz. Wszystko jest tu. Na tacy podane. Życie. Wszystkie tajemnice są już Ci znane. Gracja. Kręci się razem ze mną. Mutacja, okaże się w prostocie zbawienną. I chwile, nie do powtórzenia. I marzenia, co nie oczekują spełnienia. Bo już są. W pełni dograne. Przeżyte i w spokoju wysłuchane. Bo już pragną tylko ciszy serca. A nie, jak nie jeden, kolejny morderca. Słów złodziej. Co ich nie szanuje. Albo odwrotnie. I dlatego na nie poluje. Ja nie muszę. A wszystko mogę. Bo rozumiałem, i daleko mam trwogę. Sarong podwinięty. Wychodzimy. Ja tak nietknięty. W otoczeniu rodziny. Pięknie jest cieszyć się każdym momentem. Niech każdy dzień pozostanie świętem. Niech każda minuta przypomina doskonale. Że jest to moment, by zostawić swoje żale. I iść do przodu. A nie cierpieć z głodu. I tworzyć. Miłość. A nie się na niej rozłożyć. Ja już wiem. I takim pozostanę. Miłość. Bóg. Wiem co jest grane. Żyję już nie tylko dla siebie. Ale dla ludzi, których spotkam kiedyś w niebie. Boska rodzina. Święta przyczyna. I sterowanie. Tu góra, tu dolina. I dopracowywanie. Masz to co chciałeś. I odraczenie. No cóż, zapomniałeś. Ale możesz wszystko odkręcić. Rzucić to wszystko i przestać się męczyć. Ale możesz być sobą nareszcie. A nie liczyć, podniecenia dreszcze. Podniety i głody. To im ulegamy. Ale nie musimy. Zmień swoje plany. I poczuj Bali. Jak ja poczułem. I nie załamałem Bali lepkiem, oślizgłym mułem. Bali zostało. I już ze mną będzie. Zabiorę je ze sobą. Zawsze i wszędzie. Ten zapach kadzideł. I Canang sari. Moje dwa sarongi. Wieczór doskonały. I pędem na lotnisko. Żeby złapać lot. To by było na tyle. Moich dzisiejszych psot. Łezka się kręci. Ale nie można inaczej. Żyć trzeba dalej. Cieszy się ciągle raczej. I ta podróż. Która tyle mnie nauczyła. Setki złotych. Które we mnie odkryła. Setki obrazków, które w głowie pozostaną. I poznani ludzie. Który wspominam co rano. Balijski świt. Zagościł w moim sercu. I nie ma zachodu. I nie ma zawodu. Pozostała świeżość. I chęć do życia. Pozostała nadzieja nie do pobicia. Z dobrym, ku dobru, już tylko się kieruję. Z dobrem, ku dobru. Czasu nie marnuję.

Wiersz leniwego podmuchu wiatru

Orbitowanie

Siebie poznawanie

Masz co chciałeś
W pełni żywe zdanie

I słowo wstępu
I słowo zakończenia

A wiara się
Przez przypadki odmienia

Errata: Zapomniałem, od Wayana na pożegnanie sznur rudrakszy dostałem. Aby mi przypominał. Aby o Bali nie zapominał. I dobrą energię. Przyciągał, nie mijał. Wspaniały prezent. Wspaniałe chwile. Dzięki poznanym ludziom. Pozostaną miłe.

Wróciłem do kraju
Gwarno tu jak w gaju
Co mnie zaskoczyło
I bardzo zdziwiło
Poszedłem do kościoła
Mojego parafialnego
I spotkałem to Boga
Ta dobrze znanego
Tego samego co na Bali
Choć wszyscy bez uśmiechu stali
Tego samego uśmiechniętego

Boga
I nie ma w tym nic złego

Że różne tradycje i sposoby chwalenia
Nie jest tak, że danie nie do zjedzenia

Trzeba docenić kucharza i jego specjały
Boskie tajniki
I wybałuszam gały

Bo czuję to samo
Tak samo rozmawiam
Z Bogiem, niespodziankę sprawiam

Powiedział do mnie
Zawsze tu byłem
W Twojej rodzinie

W Kościele się skryłem

Znalazłeś mnie daleko
I rozumiałeś

Teraz wiesz, że cały czas koło mnie stałeś
I zostań, zostałem
Orbitowałem

I raz na zawsze
SZCZĘŚCIE WYGRAŁEM



Spis obrazów:

Grafika ze strony tytułowej: Grafika Marcina z Fryszaka, ŻArtowniś 6.

Wiersz ze wstępu. Marcin z Fryszaka, Przez życie.

Obraz końcowy: Marcin z Fryszaka, [i](#).



Marcin z Fryszaka

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Uzależniony od życia. Twierdzi, że powietrzem duszy się nie nakarmi. Autor czterech 14-częściowych cykli. Czwarty nosi tytuł „Prawda która wyzwala”. Książki Marcina można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie internetowej: wilusz.org

Czwarty cykl to kolejna porcja opowiadań mistycznych. Oraz trzy tomiki wierszy, „Mowa mistrza”, „Wspólna jazda” i „Warszawskie zbitki”. Ciekawą pozycją są też dialogi filmowe „Chodź, zrobimy film”. Na papierze, także pokazują się z niezwykle atrakcyjnej strony.

Każdy kto szuka. Każdy kto pragnie. Na cztery
łapy, nawet z wysoka spadnie.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Świt” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Świtu” na wszystkie możliwe sposoby.
Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Świt” każdy może wydrukować i rozpowszechniać – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część
zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Świtu”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Balijski świt”? To do dzieła!



Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Świt” był w całości dostępny za darmo w internecie. Kopiuje go z
jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiającie dostęp do „Świtu”. Udostępniajcie go bez
pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy
porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

